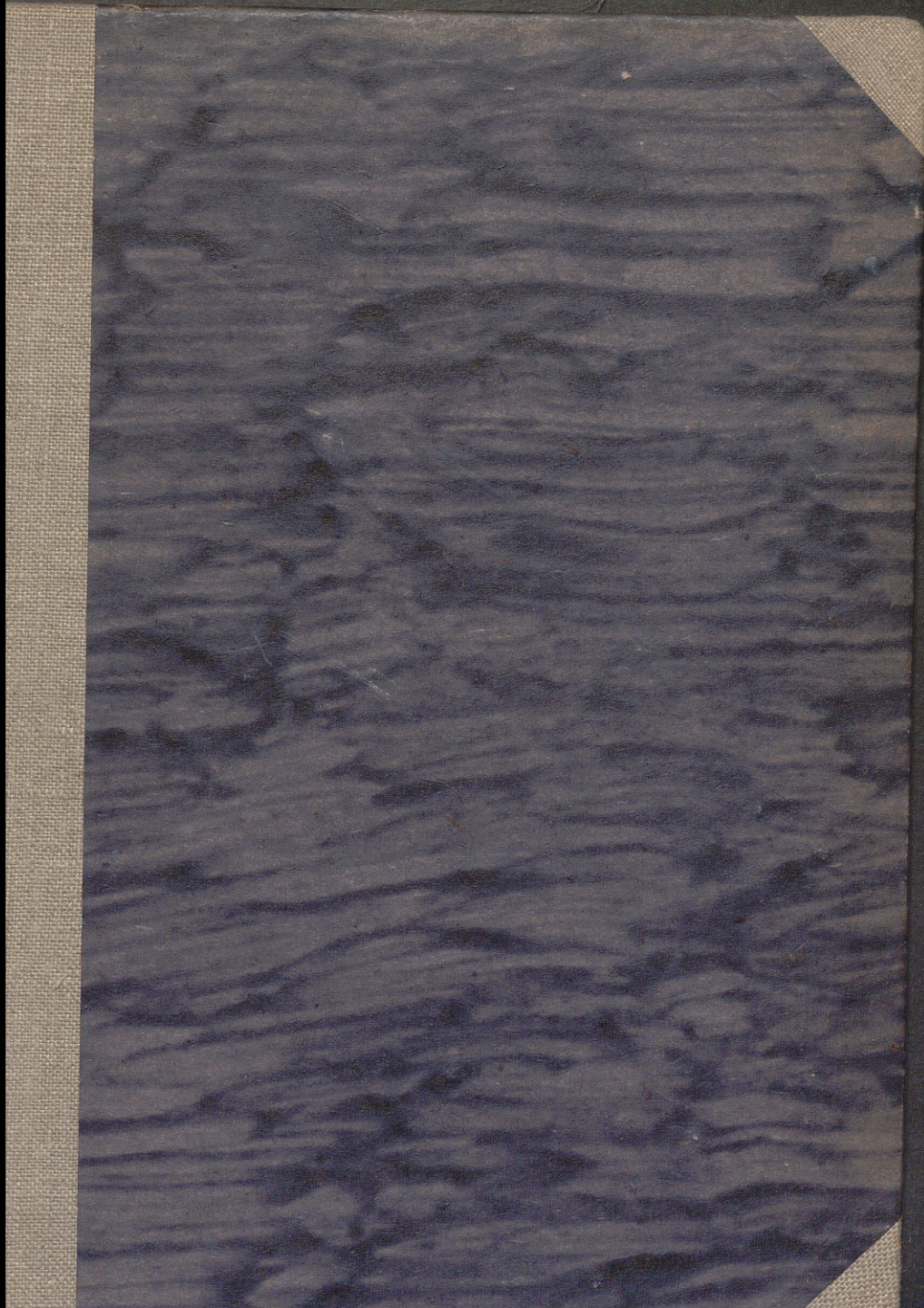
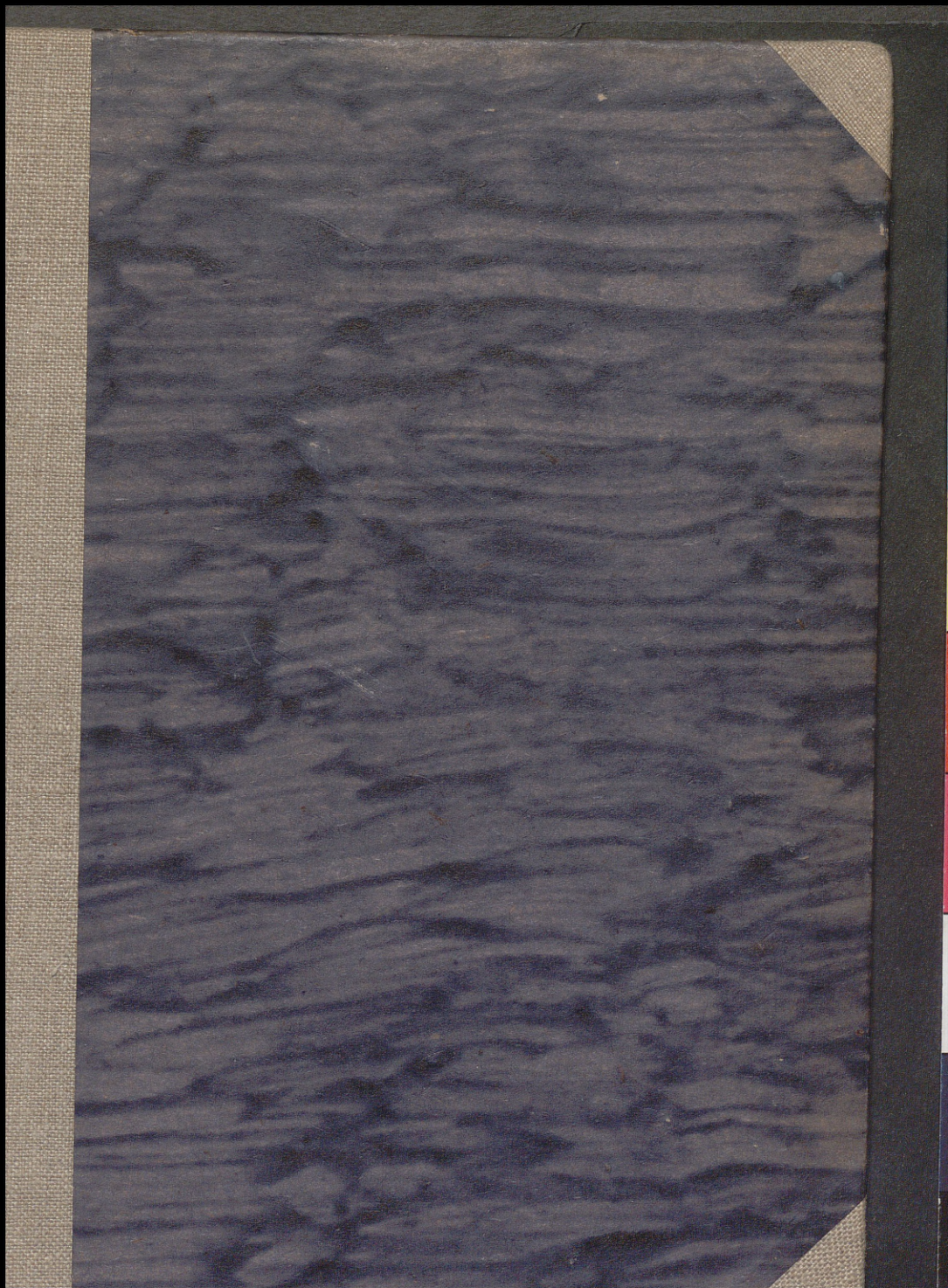






KRZYSZTOF DUNIN-WĄSOWICZ

STUTTHOF

**ZE WSPOMNIEŃ WIĘZŃNIA
OBOZU KONCENTRACYJNEGO**

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

WARSZAWA 1946

3389/2



Zakłady Graficzne „AUTOMA”, Warszawa, Wileńska 7. B. 07001.

W S T Ę P

Cechą charakterystyczną okresu wielkich przemian jest wzmógłony rozwój różnego rodzaju literatury pamiętnikarskiej. Przykładem tego, jeśli chodzi o nasze dzieje, może służyć okres powstania listopadowego i wielkiej emigracji, powstania styczniowego, a wreszcie pierwszej wojny światowej i wskrzeszenia Państwa. Niedawno miniona druga wojna światowa i okres okupacji niemieckiej, które wywołały i w dalszym ciągu wywołują olbrzymie przeobrażenia zarówno w życiu całego społeczeństwa, jak i poszczególnych jednostek, są zjawiskami bez precedensu w dotychczasowych dziejach świata. Toteż już pierwsze miesiące po zakończeniu wojny przynoszą nam szereg wspomnień z tych czasów. Ilość ich, mimo dość znacznych trudności wydawniczych, szybko powiększa się i niewątpliwie będzie coraz to rosła jeszcze przez czas dłuższy.

Tematem wspomnień, zwłaszcza tych pierwszych, które ukazują się, że się tak wyrażę, „na gorąco“, są najbardziej dramatyczne, najbardziej wstrząsające przeżycia ich autorów. Takimi przeżyciami w pierwszej wojnie światowej były niewątpliwie przeżycia wojenne, toteż ówczesna literatura pamiętnikarska ukazywała się pod znakiem wspomnień uczestników wojny na różnych szczeblach. Nieco później dołączyły się do nich wspomnienia mężów stanu.

Obecnie widzimy odmienną tematykę pierwszych wspomnień, zaczerpniętą z przeżyć więźniów niemieckich obozów koncentracyjnych. Charakterystyczne jest, że chociaż Polacy brali czynny udział w tej wojnie od pierwszego jej dnia do ostatniego, walcząc na wszystkich niemal widowniach działań wojennych, a więc w kraju, we Francji, w Norwegii, w Afryce, we Włoszech, na ziemiach ZSRR i wreszcie w Niemczech,

choć walczyli zarówno jako żołnierze armii jawnych jak konspiracyjnych, to jednak widać nawet przeżycia tej najstraszliwszej z wojen błędną wobec przeżyć, wyniesionych z obozów koncentracyjnych.

Oprócz licznych mniej lub więcej obszernych fragmentów wspomnień, rozproszonych w dziennikach i czasopismach, ukazał się w drugim półroczu 1945 i na początku 1946 szereg pamiętników w wydaniu książkowym. Na czoło ich wysuwa się świetna książka S. Szmaglewskiej „Dymy nad Birkenau“ (Kraków 1945), zawierająca przeżycia z obozu koncentracyjnego w Brzezince od jesieni 1942 do stycznia 1945.

Krótką, rzeczową relację o obozie oświęcimskim daje w broszurze pt. „Za drutami obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu“ (Kraków 1945) zakonnik o. Augustyn, należący do liczby pierwszych więźniów politycznych Polaków, przywiezionych tam 14 czerwca 1940.

Z pobytów profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego w obozach koncentracyjnych w Sachsenhausen i Dachau wiążą się wspomnienia prof. Gwiazdomorskiego pt. „Wspomnienia z pobytu profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego w niemieckim obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen“ (Kraków 1945) i prof. Skowrona „Wspomnienia z pobytu w Dachau“ (Kraków 1945). Wspomnienia prof. Gwiazdomorskiego zawierają dużo rzeczowego materiału do organizacji obozu i warunków życia w nim.

Losy księży więzionych w Dachau przedstawiają wspomnienia karmelity o. Alberta Z. Urbańskiego pt. „Duchowni w Dachau“ (Kraków, 1945), który przebywał w tym obozie od grudnia 1940 do chwili uwolnienia przez Amerykanów.

We wspomnieniach Stanisława Nogaja, których dotychczas ukazała się część pierwsza pt. „Gusen — Pamiętnik dziennikarza“ (Katowice — Chorzów 1945), znajdujemy garść wiadomości o tym obozie. Drugi dziennikarz, Ostrowski, w broszurze swojej pt. „Więźniowie — czapki zdjęć“ (Kraków 1945) daje szereg luźnych wspomnień ze swego pobytu w obozach koncentracyjnych w Dachau i Gusen.

Szereg wiadomości o przeżyciach obozowych zawiera broszura J. Pluty „Świat za drutem kolczastym“ (Poznań 1945).

Wspomnienia z pobytu w obozach koncentracyjnych Grossrosen i Litomierzycze (Reitmeritz) zawiera Antoniego Gładysza „Powrót z piekła hitlerowskiego“ (Tarnów 1945). Drugie wydanie tej książki, dwukrotnie powiększone, daje obfity materiał informacyjny o warunkach życia w Grossrosen.

Ciekawe i wnikliwe fragmenty z przeżyć w szeregu obozów, a mianowicie w Oświęcimiu, Hamburg — Neuengamme, Bremen-Farge, Płaszowie i Hersbruch (filia Dachau) dają wspomnienia lekarza obozowego dra Stanisława Jagielskiego pt. „Sclavus saltans“ (Warszawa 1946).

Wspomnienia obozowe zwiększają się teraz o nową pozycję, którą stanowi „Stutthof“ Krzysztofa Dunin-Wąsowicza. Książka ta, której autorem jest młody historyk, obecnie pracownik Instytutu Pamięci Narodowej przy Prezydium Rady Ministrów, wyróżnia się tym od innych wspomnień, że daje dużo materiału, który można nazwać źródłowym, zarówno z historii obozu, jak jego organizacji i struktury. Nazywam ten materiał źródłowym, gdyż autor, pracując w obozowym Rapport-Abteilung, miał dostęp do akt, a zdając sobie jako historyk sprawę z ich znaczenia, starał się z nimi możliwie najdokładniej zapoznać. Toteż wspomnienia jego, zwłaszcza w rozdziałach, dotyczących organizacji i funkcjonowania machiny obozowej, mają wartość jednego ze źródeł zastępczych, dopóki nie zostaną odnalezione akta obozu, o ile nie zostały one przez Niemców zniszczone.

Chociaż Polaków nie brakło w żadnym z niemieckich obozów koncentracyjnych, to jednak Stutthof jest dla nas szczególnie interesujący, zarówno ze względu, że większość więźniów stanowili Polacy, jak i dlatego, że położony na ziemiach Polski siłą rzeczy musi się stać przedmiotem naszych badań.

Jako wstęp do tych badań ukazują się wspomnienia Dunin-Wąsowicza.

DR STANISŁAW PŁOSKI

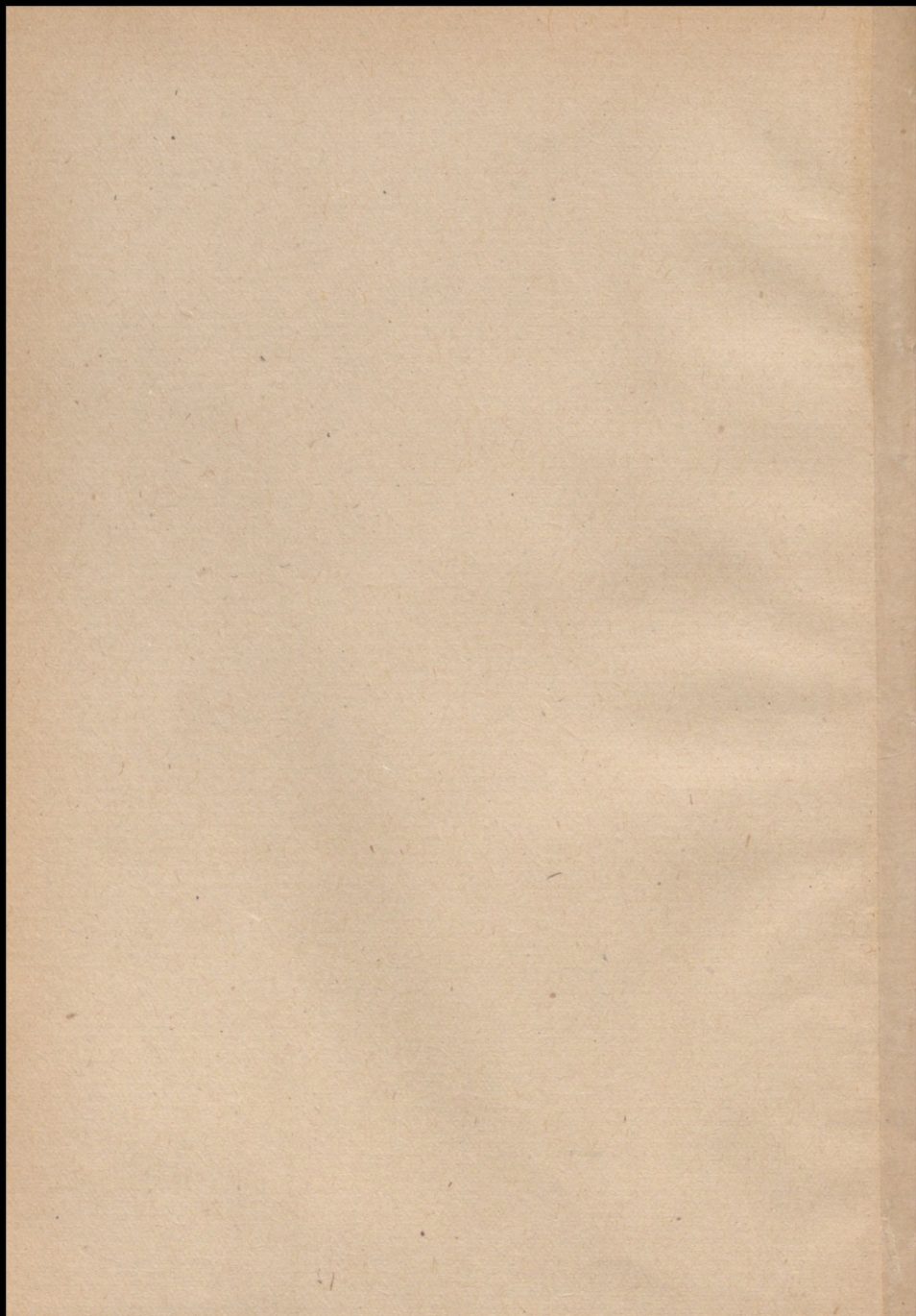
Warszawa, marzec 1946.

OD AUTORA

Wspomnienia te mają na celu danie zarysu zasadniczych wiadomości do historii obozu koncentracyjnego w Stutthofie w latach 1939 — 45. Informacje co do okresu 1939 — 44 czerpałem z opowieści kolegów i akt urzędowych, do okresu 1944 — 45 z własnych przeżyć i akt, do których udało mi się dotrzeć. Wspomnienią te nie mają charakteru literackiej pracy, lecz tylko mają odtworzyć życie i strukturę tego obozu, tak na ogół mało znanego w Polsce. Starałem się w opisywaniu wypadków o szczerość, dokładność i możliwy obiektywizm.

Pamięci
zamordowanych w obozie Kolegów
pracę tę poświęca

Autor



I. Przybycie do Stutthofu — kwarantanna

O przeznaczeniu mnie do obozu koncentracyjnego, zamiast spodziewanej kary śmierci, dowiedziałem się nieoczekiwanie 22 maja 1944 po południu, kiedy straciłem już prawie nadzieję na wyjście cało z Pawiaka. Gdy po otwarciu drzwi celi wywołano obok wielu innych także moje nazwisko, ogarnęła mnie wielka radość, granicząca z entuzjazmem. Łatwo sobie wyobrazić uczucia człowieka, któremu — zamiast zdawałoby się zupełnie pewnego rozstrzelania — ukazała się perspektywa życia, wprawdzie w niemieckim obozie koncentracyjnym, ale zawsze życia. Nawiasem dodam, że byłem aresztowany na skutek „wsypy” jednego z kolegów, który wskazał Niemcom także kilka adresów naszych magazynów broni.

Z oddziału 4. Pawiaka w II serii wyprowadzono nas kilkudziesięciu i skierowano na drugie piętro do oddziału szóstego, gdzie wpakowano nas do jednej z dużych cel. Wierzyliśmy wszyscy, że teraz wyjdziemy już z życiem i będziemy mogli wrócić kiedyś na wolność do pracy i nauki. Niestety, nie wszystkim z nas było to sądzone. Inż. Olczak wierzył w sny, które zadziwiająco się sprawdzały. Wówczas już miał niedobre przeczucia na temat wyodrębnienia nas spośród całego transportu. Okazało się bowiem, że cały nasz transport, liczący około 860 więźniów, podzielono na trzy gru-

py. Kryteria podziału były nam nieznane, w każdym razie charakterystyczną było rzeczą, że w trzeciej grupie znaleźli się, oprócz mnie i innych kolegów z mojej sprawy, ludzie z najcięższymi obciążeniami (dywersja, udowodnione posiadanie broni, przynależność do AK, nawet wywiad, łączność radiowa z Anglią i budowa nadajników radiowych). Cały dzień 23 maja upłynął nam na kilkakrotnym wybieganiu z cel na podwórze, ustawianiu się tam, segregowaniu i dzieleniu. Kilkunastu fachowców odwołał komendant z transportu, jako potrzebnych do obsługi więzienia. Byli to doktor Boloń, kilku krawców i szewców.

Nie wiedzieliśmy, dokąd jedziemy. Sądziłyśmy, że do Buchenwaldu. Oświeć nie wchodził w rachubę, jako przepelniony. Wielu ludziło się nadzieją, że nas po drodze odbiją, jak to się już zdarzyło z kilkoma mniejszymi transportami poprzednio. 24 maja o pierwszej w nocy zbudził nas warkot samochodów i ruch na Pawiaku. To odjeżdżały I i II grupa, zebrane w tym celu na 5. oddziale. W godzinę potem przyszła kolej i na nas. Wyprowadzono nas z 6. oddziału na korytarz, ustawiono dwójkami i kilku cywilnych gestapowców zaczęło nam wiązać ręce z tyłu sznurami. Po dokonaniu tej czynności sprowadzono nas na podwórze. Już szarzało.

Na podwórzu stały auta ciężarowe i kilkudziesięciu policjantów z bronią maszynową. Komenderował oficer policji z parabellum w ręku. Widocznie Niemcy bardzo obawiali się związanych więźniów, jeżeli zachowywali takie środki ostrożności. Wpakowano nas po 30 do jednego auta. Przy wejściu siedziało dwóch policjantów, a co trzecie auto było pełne policjantów z karabinami maszynowymi. Na ulicach, którymi nas wieziono na Dworzec Zachodni, co 100 m stał policjant, co 300 m karabin maszynowy. Z samochodów posypały się kartki, zawiadamiające rodziny, że nas wywożą. Na ulicach było pusto. Przecież był to wczesny ranek. Ale na murach białe napisy: „Żegnajcie, Rodacy“. To podziemna Warszawa, powiadomiona o transporcie, żegnała swoich towarzyszy. Te napisy dodały nam ducha. Więc o nas nie zapomniano!

Na Dworcu Zachodnim załadowano nas po 70 do bydłych wagonów. Wrzucono chleb (bochenek na trzech ludzi) i zasunięto szczelnie drzwi. Oczywiście, bardzo szybko rozwiązaliśmy się wszyscy. Przy podziale chleba wynikły pierwsze oznaki nieuczciwości i wyszedł na jaw egoizm, który zatruwać nam miał potem życie w obozie. Ulokowałem się, jakoś w pobliżu drzwi, aby mieć trochę świeżego powietrza. Można było siedzieć najwyżej w kucki.

Ale nie to absorbowало obecnie naszą uwagę. Wszyscy zainteresowani byli, dokąd pojedziemy. Ku naszemu rozczarowaniu, zamiast na południe, gdzie w przejeździe przez całą Polskę mieliśmy większe szanse odbicia, pojechaliśmy na północ przez most kolejowy koło Cytadeli, przez Jabłonnę i dalej. Ze wzruszeniem patrzyliśmy wtedy przez szpary na znikającą w oddali Warszawę. W wagonie panował, mimo ogromnego tłoku, dobry nastrój. Widać było wyraźnie, że jedziemy w stronę Gdańska. Nasielsk, Deutsch Eylau — takie były napisy na mijanych stacjach kolejowych, na które patrzyliśmy przez wydłubane szczyrykami szparki. Pragnienie dokuczało coraz bardziej. Już kilkanaście godzin jesteśmy w drodze. Chciałbym zasnąć, ale to jest zbyt trudne w tych warunkach.

Było już pod wieczór, gdy przejechaliśmy przez Nogat w Malborgu. Jeszcze pół godziny, a znaleźliśmy się na stacji w Tiegenhofie. Od polskiego kolejarza dowiedzieliśmy się, że jedziemy do Stutthofu. Usiłowałem sobie przypomnieć, co wiem o tym obozie, ale, niestety, w Warszawie obóz ten był prawie zupełnie nieznanym.

W Tiegenhofie otwarto drzwi wagonów i kazano nam wysiadać. Siąpił majowy deszczyk. Okolica wyglądała nieciekawie. Jakies torfowiska, bagna. O sto metrów od stacji stały przygotowane dla nas odkryte wagonetki kolejki wąskotorowej. Gromada policjantów pilnowała porządku. Było ich ponad 150 z kilkoma ciężkimi karabinami maszynowymi. Była to bardzo liczna eskorta. Jeden policjant prawie na 5 więźniów. Widocznie obawiali się odbicia transportu.

Wpakowano nas na wagonetki, upychając ile wlezie. Policjanci z gotowymi do strzału karabinami umiścili się na początku, na końcu i w co trzecim wagonie pociągu. Wreszcie ruszyliśmy. Droga wiodła przez równinę, na której stały schludne murowane domki, typowe dla niemieckich kolonistów. Ludzi widać było mało. Polaków nie było w ogóle. Nieliczni Niemcy patrzyli na nas z nienawiścią i pogardą.

Po godzinnej jeździe pociąg zatrzymał się obok tablicy „Stutthof — Waldlager“. Było już prawie ciemno. Wysiedliśmy i kazano nam ustawiać się w szeregi po 10. Obok nas przebiegał ciągle wysoki SS-man w czarnym płaszczu, robiący upiorne wrażenie. Także wartownicy, w czarnych mundurach z trupimi główkami, nie budzili miłych myśli.

Kolumna nasza ruszyła. Skręciliśmy zaraz w prawo i oczom naszym ukazał się budynek dwupiętrowy, murowany z czerwonej cegły; przed nim widać było ogród z małym stawem, po którym pływały łabędzie. Piękne, wysokie brzozy ślicznie harmonizowały z malowanymi na niebiesko kamiennymi brzegami jeziora. Po lewej stronie stało kilka drewnianych baraków. Poszliśmy dalej i minęliśmy otwartą bramę, wprowadzającą nas do otoczonego siecią drutów kolczastych obozu. Zaraz za bramą zatrzymaliśmy się. Jakiś wysoki mężczyzna wołał po niemiecku: „Reichsdeutsche, volksdeutsche, eingedeutsche austreten“. Po chwili ten sam człowiek wywołał Ukraińców i Białorusinów. Nie wiedzieliśmy, jaki cel ma to wywoływanie. Początkowo sądziliśmy, że tamci będą lepiej traktowani. Zapewne dlatego p. Kozakiewicz, b. szrajber 5. oddziału Pawiaka, wyrwał się, że on jest Armeńczykiem. Był naprawdę Polakiem, pochodzącym z ormiańskiej rodziny. Wysoki mężczyzna, wywołujący niepolskie narodowości, burknął głośno i dobitnie: „Scheiss Armenien“. Cała ta akcja miała, jak to później dowiedzieliśmy się, na celu tylko ustalenie liczby poszczególnych narodowości.

Potem zaprowadzono nas na plac między barakami i kazano kilkakrotnie wchodzić i wychodzić do jednego ze stojących obok baraków. Oczywiście musiało się to odbywać w bar-

dzo szybkim tempie. W innym bowiem wypadku pilnujący nas SS-mani bili, ile wlezie i czym popadło: pałką, gumą, deską.

Pić nam się chciało straszliwie, a tu tymczasem ów wysoki mężczyzna przestrzegał nas przed piciem wody z kranów nie podając powodów. Zaczęliśmy domyślać się wszystkiego najgorszego: że w obozie jest tyfus, czerwotka itp. Kilku jednak bardzo spragnionych ryzykantów napiło się tej wody. Nic im się później nie stało. Większość więźniów usiłowała pić wodę deszczową lub wytrzymywała bez picia. W tym niesamowitym bałaganie, to na dworze pod ciągłym deszczem, to znowu ściśnięci do ostatnich granic w baraku przetrwaliliśmy całą noc.

Część z nas, wywołana jeszcze w nocy, gdzieś odeszła. Była to tzw. druga grupa z Pawiaka. Dowodem niemieckiego bałaganu było to, że na liście, którą czytano w Stutthofie, figurowali ludzie rozstrzelani przed kilku dniami w Warszawie.

Rano dano nam kawy i po kromce chleba z odrobiną marmolady. Nie byliśmy jednak głodni, bo większość z nas miała jeszcze swoje zapasy z Pawiaka. Ku naszemu rozczarowaniu powiedziano nam, że wszystko, nawet żywność, będziemy musieli oddać przy wejściu do właściwego obozu. To miejsce, gdzie obecnie znajdowaliśmy się, nazywało się starym lagrem. Mieścił się tu szpital, łaźnie, magazyny ubraniowe i obóz kobiecy.

Skwapliwie wypytywaliśmy się napotykanych więźniów o życie w obozie. Ci udzielali nam informacji dość chętnie, podkreślając zmianę na korzyść, jaka zaszła w traktowaniu więźniów od paru miesięcy. Dowiedzieliśmy się też, że jesteśmy pierwszym transportem z Warszawy. Siedzieli tu głównie Pomorzanie, trochę było z Płockiego i Białostockiego. Razem z nami przyjechało 110 lubliniaków, których ze względu na małą eskortę zakuto na drogę w kajdany.

Obóz liczył w chwili naszego przybycia ponad 8.000 ludzi, w tym kilkaset kobiet. Więcej niż połowę stanu obozu stanowili Polacy. Z innych narodowości najwięcej było Ro-

sjan, potem Niemców, Łotyszów i Litwinów. Z zachodniej Europy było więźniów bardzo mało. Nasz transport otrzymał numery od 35.417 do 36.277. Nasza 3. grupa z Pawiaka miała numery od 36.057 do 36.277.

Przyjmowanie nas szło dość wolno. Na placu przestaliśmy cały dzień. Przyniesiono nam zupe. Była to kasza i smakowała nam. Ale starzy więźniowie zaraz poinformowali nas, że kasza zdarza się w obozie tylko raz w tygodniu. Poza tym stale jest brukiew i buraki.

Starzy więźniowie obozu wyłudziili od nas większość posiadanej przez nas żywności, mówiąc, że i tak nam przecież wszystko zabiorą. Oddawaliśmy im chętnie żywność, a także i cenniejsze rzeczy, aby je uchronić przed Niemcami. Niestety, nikt z tych kolegów, którym powierzyliśmy często cenne dla nas pamiątki (medaliki, obrączki) nie oddał później ich właścicielom. Jest to charakterystyczne dla stosunków obozowych.

Byłem ogolony, ostrzyżony z tego, co mi zdążyło odrosnąć po stryżeniu na Pawiaku i znalazłem się w ostatniej grupie już pod wieczór. Musieliśmy rozebrać się do naga i zawinąć wszystkie swoje rzeczy w koc. Widziałem, że jeden z pilnujących więźniów odstawił sobie na bok moje zupełnie nowe półbuty. W wielkim pośpiechu przeprowadzono nas przez łaźnię i dezynfekcję. Wydano nam koszule bez guzików, kalessony i jakieś łachy imitujące ubranie. Na nogi dano po dwa kawałki płótna i drewniane chodaki. Gdy w tym stroju wyszliśmy przed blok, ryczeliśmy ze śmiechu, patrząc jeden na drugiego.

Jeszcze raz spisano nasze personalia i jako ostatnia pięćdziesiątka poszliśmy pod strażą SS-manów na nowy lager. Tam wpakowano nas do 19. bloku, który był już pełen ludzi z naszego transportu. Podzielono nas w sposób następujący: na 18. bloku znaleźli się lubliniacy, wcześniejszy od nas o dwa dni transport z Płocka i druga grupa naszego transportu, licząca około 240 ludzi. Na bloku 19. reszta naszego transportu, czyli ponad 600 ludzi.

Blok 19. był położony prawie na samym wschodnim krań-

eu obozu. Dalej na wschód od nas znajdował się tylko blok 20., przeznaczony wówczas dla małoletnich do lat 17. Blokowym 20. bloku był wtedy Musolf, znany z sadyzmu. Bloki 17., 18. i 19. stanowiły całość jako tzw. „Zugangsbloki“. Był to rodzaj kwarantanny, trwającej, zależnie od okoliczności, dwa do czterech tygodni.

Pierwsze 15 bloków i 16., gdzie mieściła się kuchnia, stanowiły właściwy obóz, od którego były oddzielone drutem zarówno nasze bloki „Zugangowe“, jak i 10 bloków bardziej na południe od nas położonych, gdzie mieściły się warsztaty „Deutsche Ausrüstungswerke“.

Panem życia i śmierci na 19. bloku był blokowy Emil Bilkovsky. Był to gdańszczanin, zupełnie zgermanizowany, siedzący w obozie podobno za komunizm. „Mały Emil“ miał wzrostu najwyżej 1,60 m. Zasłużył się już SS-manom poprzednio jako kapo przy Transportkolumnie (był to wóz ciągnięty przez 10 więźniów). Potrafił on jako kapo w ciągu dwu dni wykończyć biciem, tempem pracy i różnymi szykanami całą załogę takiego wozu. Miał na sumieniu co najmniej kilkadziesiąt żywotów ludzkich. Teraz, kiedy w obozie oficjalnie zabroniono bicia, Bilkovsky nie był w swoim żywiole. Wynagradzał to sobie rozmaitymi szykanami wobec więźniów, jak np. przysiady, żabki itp. Był on jednak wielkim snobem i imponowało mu, że na jego bloku znajduje się profesor wyższej uczelni, Rostafiński, który, jak mógł, starał się wpływać na Emila i łagodzić jego częste wybuchy gniewu.

Emil siedział w obozie już ze cztery lata. Główną jego troską było zagadnienie, czy jego żona w Gdańsku dotrzymuje mu wierności. Toteż kazał sobie ciągle wróżyć z kart. Dni, w których dostał list lub jakąś inną wiadomość od żony, były dla nas znośniejsze.

Zastępcą Emila był na 19. bloku szrajber, Franciszek Marciniak. Był to Polak, bosmanmat marynarki wojennej w Gdyni. Dostał się do obozu za udział w tajnej organizacji podziemnej, działającej na terenie Pomorza. Gdy Marciniak dostał nową funkcję, od razu zaczął dawać się we znaki kolegom,

aresztowanym w tej samej sprawie. Teraz stał się ich zwierzchnikiem. Nie było wprawdzie wypadku, aby zamordował kogoś, ale bił dotkliwie, szykanował i podlizywał się SS-manom. Dla nas na 19. bloku, był Marciniak trochę względniejszy niż Emil. Duży i łagodzący wpływ na niego mieli, oprócz profesora Rostafińskiego, także wyżsi oficerowie z naszego transportu, jak np. ppłk. Ryłski. Zdarzały się jednak dni, kiedy Franz Marciniak był wściekły. Urządzał doraźne egzekucje (25 kijów) i groził nam krematorium. Już pierwszego dnia naszego pobytu w Stutthofie powitał on nas słowami, że tu nie ma litości ani miłosierdzia, tu jest obóz koncentracyjny i żelazna dyscyplina.

Poócz tych dwóch „władców“ było jeszcze na 19. bloku kilku „pomagierów“, małych piesków, którzy lubili także „wleźć za skórę“ warszawiakom.

Na 18. bloku warunki były podobne. Tam rolę łagodzącego stosunki wziął na siebie dr Drobner-Kwiatkowski, mający także duży wpływ na blokowego 18. bloku, Stanisława Szczęśniaka, brutalnego, mrukliwego, ale jeszcze nienajgorszego człowieka. Zastępcą Szczęśniaka był Miszka Dymitriew, Ukraińiec, trochę zboczeniec, który lubował się w urządzaniu meczów bokserskich między więźniami.

Życie na kwarantannie płynęło monotennie. O wpół do piętej rano pobudka, mycie się w umywalni, która stała na pewnym poziomie higienicznym, następnie śniadanie, składające się z mniej więcej 170 gramów chleba z odrobiną marmolady i z czarnej kawy, a następnie długie wystawanie przed blokiem na apel. Wreszcie gimnastyka, marsze, zrazu trwające aż do obiadu, a potem, dzięki wpływowi naszych czołowych przedstawicieli, zmniejszone do dwóch godzin dziennie.

Podczas maszerowania dziesiątkami naokoło bloku śpiewaliśmy najmiłsze nam piosenki, jak „Zakochane serce“, „Szturmówkę“, starając się „trzymać fason“. Zmęczeni tym łażeniem w kółko, po paru godzinach marzyliśmy o chwili, kiedy się Emilowi i Francowi wreszcie to znudzi i wrócimy na blok. Musztry uczono nas po niemiecku. Szczególnie mę-

czono nas wykonywaniem po kilkadziesiąt razy „Mützen ab“ i „Mützen auf“. Te ćwiczenia gimnastyczne i marsze nie były specjalnie uciążliwe dla ludzi młodych, lecz gorzej było z ludźmi w podeszłym wieku. Toteż prof. Rostafiński starał się usilnie o zwolnienie starszych wiekiem więźniów od tych męczących ćwiczeń, co mu się wreszcie, po kilkakrotnym prośzeniu Marciniaka, udało.

Na obiad, który był zwykle około godz. 11, dawano zazwyczaj brukiew, buraki lub zielone zielsko naśladujące szczaw. Dni, w których dawano kaszę lub grochówkę, były „wydarzeniem“ w naszym życiu obozowym. Mimo to, iż zupy te były przyrządzane ohydnie, zawsze znajdowali się amatorzy na dolewki, które otrzymywali przede wszystkim różni „pomagierzy“ (sprzątający umywalnię, sypialnię, rozdający zupę itp.). Były z tego powodu różne nadużycia, bo transport nasz składał się, niestety, z ludzi różnej wartości moralnej.

Obok przeważającej większości ludzi siedzących za pracę podziemną, była także spora ilość szumowiań, posadzonych o bandytyzm, kradzież, nadużycia w Arbeitsamcie itp. W Gestapo uważano ich wszystkich za sabotażystów i dołączano do transportu więźniów politycznych. Na czele takiej bandyckiej grupy stał morderca i gwałciciel, Prokop, którego szajka usiłowała na 19. bloku dorwać się do rozmaitych intryg, bo dających więcej jedzenia, funkcji. Interwencja prof. Rostafińskiego i naszych wyższych oficerów u Marciniaka utraciła te zakusy.

Po obiedzie nie mieliśmy zasadniczo nic do roboty na kwarantannie. W praktyce jednak ciągle przychodziły jakieś władze obozowe dla sporządzenia ewidencji. Najpierw dzielono nas na grupy podług wieku, potem musieliśmy wypełniać długie i bardzo szczegółowe kwestionariusze dla szpitala z podaniem wszystkich chorób, jakie się przechodziło w przeszłości i z makabrycznym zapytaniem na końcu, kogo należy zawiadomić w razie śmierci więźnia. Wreszcie przyszli do nas urzędnicy Politische Abteilung, którzy sporządzali nasze rysopisy, spisywali personalia i powody, za które siedzimy

w obozie. Okazało się, że olbrzymia większość trzeciej grupy ma jako powód uwięzienia „Widerstandsbewegung“ (ruch oporu). Urzędnicy Politische Abteilung kiwali przy tym głowami znacząco. Czyżby coś wiedzieli o naszej przyszłości? — W końcu robiono jeszcze ewidencje dla użytku Arbeitseinsatzu (przydziału pracy).

Już o godzinie 18. wypędzano nas przed blok, aby ustawić się do apelu wieczornego, który zaczynał się o 18.30. Apel wieczorny należał często do najgorszych szykan w obozie. Trzeba było czasem całymi godzinami stać na dworze bez względu na pogodę i czekać, aż stan więźniów zgodzi się z liczbami wyliczonymi przez oddział raportowy (Rapportabteilung). Spisy te miał w rękach SS-man, Rapportführer, kierujący apelem. Jeżeli uciekł z obozu jakiś więzień i liczba się nie zgadzała, wówczas rozpoczynano szukanie najpierw na terenie obozu, często, niestety, ze skutkiem. Zdarzało się też, że staliśmy tak do godziny 23. W Oświęcimiu podobno stali tak kiedyś więźniowie 36 godzin.

Trąbka dla wartowników — rozstawionych na tzw. „Postenkette“ (sieci posterunków) okalającej obóz w szerokim pojęciu, to znaczy wszystkie warsztaty, biura, magazyny, stary i nowy obóz razem — była znakiem, że wszystko jest w porządku i że wartownicy mogą zejść z posterunków. Odpowiadały tej trąbce głucho okrzyki nawołujących się w ciemnościach wartowników. Apel był skończony. Teraz wracaliśmy do bloku, jedliśmy kolację, składającą się z kromki chleba z margaryną, myśleliśmy się i szliśmy spać. Przed snem toczyły się jeszcze pogawarki, wspomnienia, dyskusje polityczne, a głównie poruszane było zagadnienie, kiedy wreszcie pozwolą nam napisać do domu i kiedy przyjdą paczki żywnościowe.

Po jakichś dwóch tygodniach stosunki nasze z Marciakiem unormowały się na tyle, że pozwolił nam na zorganizowanie pewnego życia kulturalnego. Rozpoczęły się pogadanki, wygłaszane głównie przez prof. Rostafińskiego na rozmaite tematy. Mówił on o Pasteurze, o religiach, o astro-

nomii itp. Poza tym Włodzimierz Głowacki, obdarzony dużymi zdolnościami organizacyjnymi oraz pięknym i silnym głosem, zorganizował chór, dla którego dostarczał tekstów czołowy poeta naszego transportu — Wiktor Ostrowski. Tematy do piosenek brane były głównie z codziennego życia obozowego. Wiersze: „Paczka“, „Pajdka“ (chleba), piosenki o naszym transporcie pt. „Nieprzyjemna dla nas sprawa“, piosenka o prof. Rostafińskim, o koleżankach-więźniarkach — były to najpopularniejsze utwory recytowane i śpiewane. Melodie dostosowywano zazwyczaj już znane. Prócz tego chór nasz śpiewał pieśni patriotyczne i żołnierskie. W organizowaniu życia kulturalnego w obozie dużą rolę także odgrywał zawodowy reżyser Wroncki-Majkowski.

Ożywienie życia kulturalnego miało dla nas te dobre strony, że po pierwsze, rozpraszało nudę i szarżyznę życia na kwarantannie, po drugie, zjednywało nam sympatię innych więźniów obozu. Kobiety-więźniarki, pracujące w warsztatach tuż obok nas, zjednane naszymi piosenkami, ulitowały się nad naszą niedolą i kilkakrotnie przysłały nam za pośrednictwem Marciniaka swoje „Zulagi“, czyli dodatkowe kromki chleba, które otrzymywały za pracę. Kilkakrotnie otrzymaliśmy również od nich chustki do nosa, co miało dla nas duże znaczenie, wobec braku ich w naszym wyekwipowaniu.

Męski obóz darzył nas także dowodami pewnej sympatii. Prof. Rostafiński nawiązał już bliższe stosunki z polskimi urzędnikami Politische Abteilung oraz Arbeitseinsatz i przynosił nam stamtąd wiadomości polityczne. Od niego dowiedzieliśmy się 5 czerwca o zajęciu Rzymu, a 6. o rozpoczęciu inwazji, wcześniej więc niż o tym doniosła oficjalna prasa niemiecka. Więźniowie Polacy przynosili nam często papierosy, a niektórzy z nas, którzy znaleźli w obozie znajomych, otrzymywali od nich jedzenie.

W jedną niedzielę (niedziela po południu była wolna od pracy) urządziliśmy przedstawienie dla zaproszonych gości. Przyszło sporo więźniów Polaków, głównie urzędników biur obozowych. Przedstawienie było bardzo udane. Na treść jego

składały się: występ 16-osobowego chóru pod batutą Głowackiego (sam Głowacki oprócz tego śpiewał solo), skecze, występy komika i iluzjonisty oraz recytacje wierszy. Więźniowie, którzy przybyli do nas z obozu na to przedstawienie, wyszli pod wrażeniem warszawskiego humoru, pogody i specjalnego „fasonu”. Toteż mieliśmy nadzieję, że życie w obozie ułoży się nam możliwie. Wiarę tę podtrzymywało zwłaszcza kilku oficerów (ppłk. Lgocki, por. Duz), którzy postanowili zorganizować tajną komórkę wojskową na terenie naszego transportu i całego obozu oraz zapewnić swoim ludziom znośne warunki pobytu przez stosunki w Arbeitseinsatz. Robiono ciągle listy ludzi zasługujących na poparcie, ale faktycznie nic z tego nie wyszło i skończyło się na gadaniu i konspirowaniu. Jedynym pozytywnym rezultatem całej tej roboty było to, że nasi oficerowie namówili Marciniaka i blokowego Szczęśniaka, aby zbili kilku szpiclów i donosicieli z Pawiaka. Niestety, przez pomyłkę nie dostał batów najgorszy ze szrajberów na Pawiaku, reichdeutsch Przyklęk-Frankovsky z 6. oddziału Pawiaka.

Także na gadaniu skończyły się groźby Marciniaka, że on tym wszystkim donosicielom i mordercom zatruje życie w obozie.

Marciniak, widząc zbliżający się koniec wojny, usiłował wówczas rehabilitować się przez gorliwość w wykazywaniu patriotyzmu. Niewątpliwie zrobił on dla naszego transportu pewne ustępstwa z dyscypliny obozowej i ulżył nam trochę w naszej doli.

Mając sporą ilość wolnego czasu, podczas którego nie można się było położyć ani nawet (chyba, że padał deszcz) wejść do bloku, spędzaliśmy długie godziny na ciągłych dyskusjach politycznych i komentowaniu działań wojennych sprzymierzonych, wykorzystując do tego wszystkie pożyczane, od kogo się dało, gazety niemieckie. Byliśmy na ogół optymistami. Większość z nas obliczała koniec wojny na wrzesień lub październik 1944. Mało kto przewidywał, że skończy się ona dopiero w maju 1945.

Pozwolono nam wreszcie napisać do domu (pieniądze na znaczki pożyczły nam kobiety za pośrednictwem Marciniaka) i teraz czekaliśmy codziennie na paczki. Wreszcie przyszły one, po miesiącu naszego pobytu w obozie. Był to już czas najwyższy, bo wielu z nas czuło się bardzo osłabionymi przez to niedojadanie. Zdarzyły się nawet już dwa wypadki śmierci z wyczerpania, co prawda wśród ludzi starych. Zbliżał się też już koniec naszej kwarantanny i zaczęły chodzić słuchy, że szykuje się jakiś transport pod Szczecin do fabryki chemicznej. Miało tam być gorzej niż w Stutthofie. Liczyliśmy teraz na to, że dzięki stosunkom z urzędnikami Arbeitseinsatzu uda się nam w większości od tego transportu wykręcić.

Tu właśnie wyszła na jaw cała blaga konspiracyjna i okazała się bezsilność naszych wyższych oficerów. Nie mieli oni faktycznie żadnego wpływu na ustalenie listy transportu i właśnie większość najlepszego elementu, siedzącego za pracę podziemną, miała tym transportem pojechać. O przydziale decydowały jedynie kwalifikacje zawodowe. Fachowcy (głównie rzemieślnicy) mieli zostać w obozie. Niefachowcy, a więc głównie inteligencka młodzież, mieli pojechać do Pölitz pod Szczecinem. Z całego naszego transportu warszawskiego miało pojechać do Pölitz około 400 ludzi. Zgrupowano ich na 19. bloku, a reszta została rozparcelowana po innych blokach i przydzielona do poszczególnych grup pracujących.

Nagle 22 czerwca zagazowano 50 ludzi z transportu płockiego i 43 z przebywającego już parę miesięcy w obozie transportu białostockiego. Ostatnia ta grupa usiłowała uciekać podczas drogi na miejsce straceń koło krematorium. Ponieważ był to już wieczór, mieli więc pewne szanse, lecz związane ręce utrudniały im ucieczkę. Kilkunastu uciekających zabito na miejscu. SS-mani strzelali na prawo i lewo. W tym bałaganie kule przebiły drewnianą ścianę 2. bloku i został tam przypadkiem zabity jeden z więźniów. Wyrok wykonano na wszystkich pozostałych skazanych w komorze gazowej przez wrzucenie tam przez otwór u góry gazu-cyklonu. Podobno jedna z gazowanych grup uwolniła się z więzów i usi-

łowała wyważyć drzwi komory gazowej. Pozostały ślady częściowo, wywalonych pierwszych drzwi.

Następnego dnia jak grom uderzyła w nas wiadomość o wyłączeniu trzeciej grupy warszawskiego transportu z wyjazdu do Szczecina. Oczywiście wszyscy łączyli to zarządzenie z egzekucją poprzedniego dnia. Zresztą sam Marciniaak wyraził się, że trzecia grupa staje się teraz „Himmelkommando“, to znaczy „komendą niebios“, i że w najbliższych dniach nas wykończą. Radził nam tylko, żeby uciekać w czasie drogi do komory gazowej i w ten sposób starać się, aby zginąć od kul, a nie w Gaskamerze.

Gdy śmierć groziła nam na Pawiaku, każdy był nastawiony na to, że już nie wyjdzie na wolność i był przygotowany na wszystko. Ale tu, w Stutthofie, kiedy zdawało się, że możemy życie uratować, teraz wobec wspaniałych sukcesów armii sprzymierzonych umierać? Nie, to byłaby zbyt wielka złośliwość losu! Opanowało nas wielkie zdenerwowanie. Niektórzy wpadli w zupełnie czarny nastrój. Po kilku dniach nastąpiło odprężenie, ale groza wyroku śmierci wisiała ciągle nad nami. Jak dowiedzieliśmy się, akta naszych spraw poszły z Gestapo warszawskiego do Sondergericht (sąd specjalny) w Berlinie i byliśmy zależni nie od komendanta obozu, lecz od wyroku sądu. Wstrzymywanie naszego wyjazdu powtarzało się kilkakrotnie przy różnych okazjach. Zmiana tych zarządzeń nastąpiła dopiero we wrześniu prawdopodobnie na skutek uznania Armii Krajowej za armię kombatancką i ogłoszenia amnestii dla jej członków, więzionych za czyny popełnione w okresie przedpowstaniowym.

Tymczasem jednak przydzielono nas do pracy i teraz mogłem poznać historię i strukturę obozu, którą postaram się pokrótce opisać:

II. Historia obozu

Miejscowość Stutthof jest położona na terenie b. Wolnego Miasta Gdańska u nasady Mierzei Wiślanej. Od Gdańska dzieli Stutthof trzydzieści parę kilometrów, tyleż od Elbląga.

Sam obóz, leżący opodal miejscowości tej samej nazwy, znajdował się w wysokim sosnowym lesie, w dolinie, między nadmorskimi diunami, w odległości około dwóch kilometrów od wybrzeży Bałtyku.

Niemcy dobrze wiedzieli, jakie miejsce wybrać na obóz koncentracyjny. Nisko położony (najwyżej jeden metr nad poziomem morza), często w depresji, obóz miał jako powierzchnię cienką warstwę piasku, a pod nią niezdrowe bagna i torfowiska. Woda tamtejsza nie miała ani krztyny wapnia i powodowała przez częste jej picie bolesne obrzmienia nóg (flegmona), powodujące w następstwie śmierć. Klimat tamtejszy sprzyjał rozwojowi chorób płucnych.

Już 2 września 1939 zwieźli Niemcy do Stutthofu, do postawionych tam prowizorycznie baraków i namiotów (był tam przedtem jakiś dom dla starców), pierwszą partię Polaków z Gdańska. Byli to przeważnie przedstawiciele polskiej inteligencji i uświadomionego proletariatu: urzędnicy poczty, kolei, działacze społeczni i zawodowi. Od razu wzięto ostry kurs. Po wypadkach w Bydgoszczy 3 wrześ-

nia 1939 urządzono specjalny „odwet“ w Stutthofie. Już wtedy kilku więźniów nie wytrzymało bicia i poniewierania. Każdego dnia przywożono nowych ludzi. W sercach żyła jeszcze nadzieja. Słyszano strzały armatnie w Gdyni. Broniło się jeszcze Westerplatte, Hel. Dnia 14 września padła Gdynia. Niemcy urządzili masowe oblawy na mężczyzn w Gdyni i około 7.000 ludzi wyłapanych przywieźli do Stutthofu i do innych miejscowości na terenie Wolnego Miasta Gdańska. Drobnią część z nich zwolniono, większość pozostała w obozie na zawsze.

Z tych pierwszych siedmiu tysięcy żyło w roku 1944 może dwustu. Dołączono do nich około stu polskich marynarzy, jeńców wojennych, niby to „przypadkowo“. Gdy potem przyjechała komisja sprawdzić czy nie ma w Stutthofie jeńców wojennych, żołnierzy polskich na ten dzień wyprowadzono z obozu i ukryto w lesie. Pamiętam z tych marynarzy, żyjących jeszcze w 1944 roku, dwa nazwiska: Homa, późniejszy blokowy 8. bloku, i Antoni Rzyszkiewicz, mat marynarki wojennej, późniejszy goniec w Rapportabteilung.

Obóz rozbudowywał się. Powstawać zaczęły baraki mieszkalne, warsztaty, kuchnia, magazyny i budynek komendatury. Ta komendantura, przepięknie zbudowana z czerwonej cegły, z ślicznym ogrodem i stawkiem, na którym znajdował się domek na morskie świnki, kosztowała życie paru tysięcy ludzi. W lecie i w zimie, w deszcz czy upał, pod pałąk czy kijem SS-mana zwozili więźniowie materiały budowlane i murowali, często łącząc cegły własną krwią zamiast cementem. Powstał tak zwany w Stutthofie stary lager — kompleks kilkunastu budynków, otoczony potrójną linią drutów i wieżyczkami dla wartowników.

Początkowo rolę dozoruujących katów spełniali sami SS-mani. Doborowa elita, składająca się przeważnie z gdańszczan i pomorskich volksdeutschów, pracowała pilnie. Mimo ciągłych transportów śmiertelność dorównywała przyrostowi. „Abgang“ równał się „Zugangowi“. Stan obozu nie przekraczał początkowo od trzech do czterech tysięcy ludzi.

W roku 1940 rozpoczynają Niemcy zwozić masowo więźniów politycznych. Przyjeżdża do Stutthofu, aby znaleźć tam kres swej męki, inteligencja pomorska (ksiądz Rogaczewski, dr Miran, poseł Lendzion, Liczmański i in.). Nie ma na Pomorzu miasta czy wsi, skąd by ktoś nie zginął w Stutthofie.

Przyjeżdżające transporty „witano“ dwudziestoma pięcioma kijami wymierzonymi każdemu. Po dwóch dniach kwarrantanny i pobieżnych oględzinach lekarskich — do pracy.

Nie było w Stutthofie kamieniołomów, było coś równego temu: „Waldkolonne“ — kolumna leśna. Każdego ranka, niezmiennie w tych samych lachach, na które każdy naszywał stopniowo w zimie, co mógł, żeby było cieplej, wyruszała do pracy „Waldkolonna“. Mało kto był od niej uchroniony. Tylko nieliczni specjaliści pracowali w warsztatach i biurach, a i oni musieli najpierw przejść „staż“ w „Waldkolonnie“.

Praca była ciężka. Ścinanie olbrzymich drzew, transportowanie ciężkich pni, karczowanie i niwelowanie terenu pod ciągle powiększający się obóz, wymagało wielkiego wysiłku nawet od zdrowych ludzi i w normalnych warunkach. A cóż dopiero przy akompaniamencie kijów i pałek, których nie żałowano, w tempie szybkim, nawet morderczym, bez przerw i odpoczynków, przy odżywianiu głodowym. Toteż wytrzymywano przeciętnie parę tygodni. Słabsi nawet tylko parę dni.

Na obiad wracała „Waldkolonna“ zawsze w zmniejszonej ilości. Za nią ciągnęli więźniowie na wozach trupy zmarłych kolegów. Często padali od jednego ciosu, od jednego „zręcznego“ uderzenia deski-kantówki.

Równie ciężka albo i gorsza była praca w cegielni i „Transportkolumnie“. Cegielnia, gdzie przechodzono stale ogromne zmiany temperatur, była długi czas „karną kompanią“. Tam wysyłano tych, którzy mieli nieszczęście „podpaść“, czyli coś zawinić. Tam nawet najsilniejszym trudno było wytrzymać. „Transportkolumna“ — jak już wyjaśnialiśmy — to wóz zaprzężony w 10 Häftlingów. Był to zwykły środek pociągowy i transportowy w obozie.

Kapo czy SS-man przyczyniali się do tego, aby załogę wozu zmieniać co parę dni. Więcej niż dwa — trzy dni rzadko kto wytrzymał. Przeważnie padali w pierwszym dniu z rozciętą głową lub zgniecioną piersią. Kapo — ta znana we wszystkich obozach instytucja — była oczywiście i w Stutthofie. Kapo — to nadzorca wybrany spośród więźniów, dozoruujący swych kolegów i mający pewne przywileje za „wierną służbę“ SS-manom. Zdarzały się wśród nich wyrzutki, posuwające się do kompletnego zaprzaństwa uczuć narodowych i moralnych.

W roku 1941 przywieziono do obozu grupę Niemców kryminalistów, tzw. „zielonych“, nosili oni bowiem, w przeciwieństwie do „czerwonych“ — politycznych, zielone trójkąty na piersiach. Ci objęli w zastępstwie SS-manów funkcje katów w obozie. Dotrzymywała im kroku w okrucieństwach i podłościach grupa Polaków, tzw. „starych numerów“, to znaczy siedzących w obozie od początku. Ta dobrana spółka podzieliła się funkcjami kapów i blokowych. W dziele niszczenia ludzi wyróżniali się specjalnie: sławny w Stutthofie Zimmermann, ostatni „Lagerältester“ (starszy obozowy) Selonke, Klifoth, Neumann, Merkel, Bilkovsky i wielu innych Niemców; z Polaków: Wacław Kozłowski, Czerwiński, Mulsolf; z SS-manów zaś: Emerich, Guz.

Kapo był nieograniczonym panem życia więźniów podczas pracy, a blokowy i jego pomocnik zwany „sztabowym“ (od niemieckiej nazwy „Stube“ - izba) — po pracy. Niektórzy z nich mają na sumieniu życie kilkuset więźniów. Kozłowski był z zawodu rzeźnikiem i — rzecz dziwna — kochał muzykę. Potrafił siedzieć całymi godzinami i słuchać gry na harmonii. Ale nagle zrywał się i za byle głupstwo, za źle przyszyty guzik rozwałił nieszczęsnemu więźniowi głowę lub obalał go na ziemię i skakał po klatce piersiowej aż do połamania ofierze żeber.

Więźnia tak zmasakrowanego odsyłano do szpitala. Istniała opieka lekarska, ale jak ona wyglądała w rzeczywistości? Kompletny brak lekarstw, zależność personelu lekarskiego

od widzi mi się kapa szpitalnego, mała ilość łóżek i zasadnicza metoda niszczenia wszystkiego co polskie, prowadziły do tego, że więźniowie bali się szpitala jak ognia. Pójście do szpitala było przeważnie równoznaczne ze śmiercią. Epidemii krwawej biegunki w ogóle nie leczono. Tyfus wytrzymywali tylko najsilniejsi. Ciężko chorych „wykańczano” przez topienie lub uduszenie w łaźni albo też przez „humanitarne” zastrzyki. W latach 1939 do 1943 mało kto wyszedł ze szpitala.

Jak kapo podczas pracy, tak w bloku panem życia i śmierci Häftlinga był blokowy. Regulamin był ostry. Obowiązywała dyscyplina więcej niż wojskowa. Wszystko musiało być idealnie czyste i „pod włos”. Za byle co, za źle posłane łóżko karano chłostą. Zwykłą karą obozową za nieposłuszeństwo, palenie papierosów, opieszałość w pracy i inne tym podobne „przestępstwa” było 25 kijów. Często jednak, gdy blokowy był w złym humorze, mógł za taką „zbrodnię” lub w ogóle bez żadnego powodu powiesić więźnia w umywalni. Oczywiście, nikt nie upominał się o to marne życie. Wszak to był tylko Polak „Staatsfeind”, jak głosiło pierwsze przykazanie dla SS-manów: „Jeder Häftling ein Staatsfeind” (każdy więzień — to wróg państwa). W ideologii hitlerowskiej nie ma przecież litości, miłosierdzia, pobłażania — nie ma w ogóle Boga. Modlitwy były zakazane, księża specjalnie źle traktowani, tak że ginęli jeszcze szybciej niż inni więźniowie.

Blokowy miał swoich pupilków-„pomagierów”. Czasem byli nimi mali chłopcy, których liczni zboczeńcy na funkcjach używali do swoich seksualnych zachcianek. Było to zresztą w obozie zjawisko nagminne, importowane przez Niemców. Dla blokowego w przystępie złego humoru nic nie znaczyło rzucić w tłum więźniów taboret, który rozbiął się w kawałki o czyjąś głowę, lub zmasakrować Häftlinga bez powodu. Niektórzy blokowi wybierali w tym celu specjalnie inteligentów i jeszcze przechwalali się, jacy to oni są kulturalni, bo zanim delikwenta uderzą w twarz jeden raz i drugi, każą mu wpierw zdjąć okulary. Za kradzież najmniejszej rze-

czy, często nawet tylko za podejrzenie o kradzież, karano śmiercią, wieszając ofiarę w umywalni.

Umywalnia służyła jednocześnie za trupiarnię. Wyrzucano tam zmarłych w ciągu nocy, a często takich, którzy jeszcze żyli i dopiero tam konali przygniecenii innymi trupami. Gdy ktoś padł na apelu, trwającym czasem po kilka i kilkanaście godzin, kładziono trupa obok żywych, bo liczba musiała się zgadzać. Winny tej nieścisłości był karany srogo. Dobrze, jeśli wtedy skończyło się na biciu tylko.

Nic dziwnego, że z takiego piekła ludzie starali się uciekać. Ale ucieczka była trudna. Potrójna linia naelektryzowanych drutów z wieżyczkami, na których stali wartownicy uzbrojeni w karabiny maszynowe, psy gończe, ubrania łatwe do rozpoznania, ogolone głowy — to wszystko utrudniało lub wręcz uniemożliwiała ucieczkę. Nawet, gdy więzień wy dostał się poza obręb obozu, musiał unikać ludności gdańskiej, wrogo nastawionej, i przedrzeć się przez trójkąt wód, w którym leży Stutthof. Toteż ucieczki przeważnie kończyły się niepomyslnie. Schwytanego, najpierw zbito niemiłosiernie, a potem powieszono publicznie — dla przykładu. Karę śmierci za ucieczkę zniesiono dopiero w roku 1944, ale i wtedy nie zawsze przestrzegano tego „złagodzenia“ prawa.

Ciężko było w obozie wytrzymać, bo i żywnościowe warunki były „pod psem“. Wydawane racje były głodowe. Bochenek chleba na 16, czasem na 20 ludzi, margaryny tyle, że wystarczało na cieniutką warstewkę na równie cienkiej kromce chleba i trzy czwarte litra zupy na dzień. Zupa — to zbyt szumne słowo. Właściwie były to pomyje, przeważnie brukiew i buraki nieobierane i niegotowane, czasem tylko znalazł się jakiś zabłąkany kartofel. Ale i o tej zupie ludzie marzyli, potrafili zjeść cztery, pięć porcji. Głód — to ciągle uczucie więźnia. Doprowadzał on nawet do czynów rozpacz. Zdarzały się wypadki, że głodni więźniowie wykradali jedzenie psom SS-manów, za co groziła im kara śmierci. Psy miały lepsze pożywienie od Häftlingów. Ale i to jeszcze nie wszystko, bo dochodziło nawet do ludożerstwa. Jeden z więźniów

(nie-Polak) wykrajał kawałek ciała z trupa towarzysza i zjadł na surowo. Złapano go na tym i szybko wykończono. Przed śmiercią jednak nosił tabliczkę z napisem: „Jadłem ciało ludzkie“.

Niektórzy blokowi, mając stały przydział chleba na swój blok, mordowali ludzi, aby zrabować ich porcje i nie było żadnego sposobu, aby temu przeciwdziałać. Ludzie głodni wykopywali kartofle i brukiew z ziemi i zjadali na surowo. Wynikiem tego były częste epidemie czerwonki, na którą umierało bardzo wielu. O śmierć w obozie było bardzo łatwo. Czasem wystarczyło mieć złote zęby, aby blokowi zauważywszy to „wykończył“ więźnia, po czym specjaliści „dentyści“ dokonywali operacji wyrwania trupowi złotego zęba czy korony.

W Stutthofie istniało krematorium, nie tak wielkie jak w Oświęcimiu, mogło ono jednak spalić do 200 ciał dziennie. Pracownicy krematorium rekrutowali się z najgorszych szumowin, wybranych spośród zgłaszających się ochotniczo, i otrzymywali większe racje żywnościowe oraz papierosy, a pod koniec obozu nawet wódkę. Lepszy element spośród więźniów, oczywiście, nie zgłaszał się do tej piekielnej funkcji.

Począwszy od 1940 roku zaczęły przychodzić transporty przeznaczonych na „wykończenie“. Często przywożeni byli tu z Gdańska więźniowie polityczni na wykonanie wyroków śmierci. Szubienica stała obok krematorium, aby było szybciej i wygodniej. Opodal stała także komora gazowa, początkowo o pojemności 50 ludzi, potem powiększona.

Wyroków wykonywano sporo. Często wieszano rosyjskich skoczków spadochronowych, nie bacząc na prawo międzynarodowe. Kilka razy Niemcy stracili w Stutthofie rosyjskie kobiety-oficerów, które zostały przywiezione z Gdańska czy z Olsztyna w mundurach wojskowych. Umierały odważnie, grożąc głośno Niemcom zemstą i karą Czerwonej Armii.

Cbóz powiększał się stale. W 1942 roku przywieziono pierwsze transporty Rosjan. Była to przeważnie ludność cy-

wilna ewakuowana z Ukrainy i Białorusi. Dużo chłopców i nawet dzieci. Przywieziono także kobiety, które dostały osobny barak. Kobiety traktowano początkowo okropnie. Używano je do najohydniejszych prac: do wywożenia ekskrementów ludzkich i gnoju. Często SS-mani zabierali co ładniejsze dziewczęta do siebie na noc. Jeszcze częściej robili to niemieccy kapowie i blokowi. Moralność kobiet, stojących na kierowniczych stanowiskach w obozie żeńskim, pozostawiała dużo do życzenia.

Powoli obóz staje się międzynarodowym. Obok ciągłych transportów Polaków (teraz także z Płockiego i Białostockiego) przychodzą transporty Litwinów, Łotyszów, Estończyków, Norwęgów i Duńczyków. Transporty te zaczynają przewyższać ciągle dużą śmiertelność w obozie. Liczba więźniów wzrasta, aby osiągnąć w początkach 1944 roku 7 do 8 tysięcy. Buduje się tak zwany nowy lager na wykarczowanych i zniwelowanych krwią i potem więźniów terenach, w odległości około siedmiuset metrów od starego lagru.

Polaków jest ciągle najwięcej w obozie i tak pozostanie do końca. Drugie miejsce co do ilości mają Rosjanie. Wśród nich jest wielu jeńców wojennych, wyciągniętych ze swoich obozów za wrogą hitleryzmowi propagandę. Dalej jest 138 duńskich komunistów z przywódcą duńskiej partii komunistycznej, Moltkem, na czele. Przybywa grupa litewskiej inteligencji: profesorowie uniwersytetu, członkowie parlamentu, prokuratorzy, inżynierowie itp. Zjawia się transport dwustu kilkudziesięciu policjantów norweskich, którzy odmówili przysięgi na wierność Quislingowi. Tych traktowano trochę lepiej i osadzono w osobnym „Germanenlager“ — obozie Germanów. Dalej jeszcze są Łotysze, Estończycy, Czesi, trochę Francuzów, Włochów i Belgów. Arystokracją obozu są Niemcy. Oni są na funkcjach i z nich rekrutują się najgorsi kaci i mordercy. Niemców — więźniów politycznych jest mało. Kilku ze spisku Röhma, a między nimi kapo Arbeitseinsatzu Rössler, kilku komunistów i socjaldemokratów. Gros Niem-

ców — to kryminaliści — „Berufsverbrecher“ (zawodowi przestępcy), jak brzmi ich oficjalna nazwa.

Obok podziału na narodowości obóz dzieli się także na rodzaje przestępstw — „Haftarten“, za które osadzono danych więźniów.

Teraz Stutthof przybiera nazwę „Konzentrationslager“. Długo, bo do 1942 roku nosił on, podobnie jak Majdanek, nazwę „Zivilkriegsgefangenenlager“ — obóz cywilnych jeńców wojennych. Ale ani Międzynarodowy, ani Polski Czerwony Krzyż nie miał dostępu do tego obozu „cywilnych jeńców wojennych“.

Obok politycznych „Schutzhäftlinge“ (więźniowie ochronni) noszących czerwone trójkąty na piersiach, istnieje liczna grupa zawodowych przestępców „Berufsverbrecher“ — głównie Niemców. Dalej jest kilkudziesięciu kryminalistów, odsiadujących obóz już po zakończeniu kary więzienia czy domu poprawczego. Byli to tak zwani „Polizeisicherheitsverwehrte“ (pozostający pod nadzorem policyjnym). To także głównie Niemcy. Nosili oni zielony trójkąt, szpicem do góry. Następnie jest grupka homoseksualistów, samych Niemców (różowy trójkąt), osadzonych w obozie na mocy obowiązującego w Niemczech paragrafu 175.

Od tych, nisko moralnie stojących grup kryminalistów i pederastów, dodatnio odbija się grupa sekty religijnej „Badaczy Pisma Świętego“, składająca się w dwóch trzecich z Niemców i w jednej trzeciej z Polaków. Było ich ogółem kilkudziesięciu mężczyzn i kilkanaście kobiet. Nosili fioletowe trójkąty. Trzymali się z sobą razem, pomagali sobie nawzajem, a także i innym i reprezentowali na ogół wysoki poziom moralny i umysłowy. Siedzieli oni w obozie za negatywny stosunek do wojny, służby wojskowej i państwa hitlerowskiego.

Byli też tak zwani „Asoziale“ — aspołeczni (czarny trójkąt), przeważnie sutenerzy, zawodowi włóczędzy i inne moty społeczne. Kobiety wśród nich to głównie prostytutki. Był to jednak element trochę lepszy od kryminalistów. „Aspołeczni“

— to przeważnie Niemcy, ale jest i część Polaków. Potem jest ich więcej, głównie za przestępstwa w pracy. Początkowo za te przestępstwa (ucieczka z pracy lub z transportu, opieszałość lub lenistwo) dawano czerwony trójkąt jak i politycznym. Dopelniają obrazu Żydzi (o których obszernie osobno) i jeden „Rotspanier“, czyli uwięziony za udział w wojnie domowej w Hiszpanii po stronie czerwonych. Potem wyodrębniono z grona więźniów wyżej wspomnianych policjantów norweskich jako „Germanenhäftlinge“.

W odległości 2 km od obozu zbudowano w r. 1944 „Sondernlager“ — obóz specjalny. Oprócz linii drutów był on otoczony wysokim na 5 m murem. Dostęp był zakazany, więźniów transportujących żywność dopuszczano tylko do bramy. Umieszczono tam najpierw kilkudziesięciu więźniów nazywanych w aktach obozu „Haudegen“. Potem liczba ich wzrosła do stu kilkudziesięciu mężczyzn i kilku kobiet. Nikt nie wiedział dokładnie, za co oni siedzą. Zaprowiantowanie dostawali z kuchni SS, gazety i książki z biblioteki komendatury. Mieli osobne akta z napisem „Haudegen und Sippenhäftlinge — geheim“. Niestety, do tych ściśle tajnych akt nie udało mi się zajrzeć. Ogólnie panowało mniemanie, że są to przeciwnicy Hitlera spośród generalicji i administracji niemieckiej. Przekonanie to utwierdziło się w obozie po przywiezieniu większej partii „Haudegenów“ po nieudanym zamachu na Hitlera 20 lipca 1944. Ci Sondernhäftlinge przywożeni byli z Poznania. Wywieziono ich przed ewakuacją i tajemnica ich nie została całkowicie poznana.

Rok 1943 przynosi zwrot w wojnie. Zwycięzający dotąd Niemcy zaczynają teraz przegrywać na wszystkich frontach. Stalingrad, klęski w Afryce, zwycięskie ofensywy sowieckie i alianckie we Włoszech — to wszystko odbija się w obozach koncentracyjnych. Przed „Herrenvolkiem“ staje perspektywa przegranej wojny. Niemcy zaczynają bać się odpowiedzialności za popełnione zbrodnie. To wszystko wpływa na pewne złagodzenie kursu.

Przed wszystkim zostały dopuszczone paczki żywnościowe, których dotychczas więźniowie nie mogli otrzymywać. Początkowo okradano te paczki niemiłosiernie, zostawiając więźniom tylko chleb. Czego nie zabrał kontrolujący SS-man, to resztę wziął blokowy. Potem okradają coraz mniej. Jest to zależne od klęsk niemieckich na frontach.

Pod koniec roku 1943 wydany zostaje w Berlinie oficjalny zakaz bicia w obozach. W praktyce wygląda to inaczej. Biją jak dawniej, tylko nie tak na oczach wszystkich. SS-mani zwalają teraz egzekutywę na godnych siebie pomocników, kapów i blokowych, sami tylko wydają rozkazy. Jest niby teraz prawo zażaleń o niesprawiedliwe pobicie do Arbeitseinsatzu (biuro przydziału pracy), ale niech kto spróbuje się poskarżyć... Kilku próbowało i gorzko to odczuli.

Rozbudowujący się ciągle obóz ma swoje potrzeby. Powiększają się warsztaty „Deutsche Ausrüstungswerke“ (DAW) — niemieckie zakłady zbrojeniowe. Wynika konieczność znalezienia fachowych sił do pracy. Jest zapotrzebowanie na inżynierów, urzędników handlowych, majstrów i czeladników. Skąd ich wziąć? Mogli nimi być tylko Polacy, jedyny żywioł w obozie, łączący w sobie zalety ogólnej inteligencji, fachowości i znajomości języka niemieckiego. Komendantura obozu musiała dopuścić Polaków z konieczności do biur i warsztatów. Raz dorwawszy się do lepszej i lżejszej pracy, Polacy nie dają się łatwo wygryźć. Rozpoczyna się walka z grupą niemiecką o utrzymanie tych stanowisk. Forytowani przez władze są oczywiście Niemcy, których wyznacza się na funkcje kierownicze, czy to w biurze budowlanym, czy handlowym, w urzędzie pracy czy w warsztatach. Wychodzi zarządzenie, że w każdym biurze, magazynie czy warsztacie na jednej z funkcji kierowniczych musi być reichsdeutsch. Polaków usuwa się na podrzędne stanowiska. Komendantura myśli nawet o całkowitym usunięciu Polaków z tych funkcji, ale okazuje się to niemożliwe.

Pewnego dnia po awanturze antypolskiej, sprowokowanej przez więźnia — Niemca, komendant obozu wydał za-

rzządzenie usunięcia wszystkich Polaków z funkcji w biurach, magazynach i warsztatach. W rezultacie tego praca w obozie stanęła i komendant został zmuszony przywrócić poprzedni stan rzeczy.

To usadowienie się Polaków na funkcjach i — rzecz najważniejsza — opanowanie urzędu pracy (z wyjątkiem najwyższych stanowisk) pozwoliło na wewnętrzne polepszenie sytuacji. Polacy pomagają sobie nawzajem. Ułatwiają przydziały do lżejszej pracy. W „dekowaniu“ ludzi od „Waldkolonny“ czy cegielni w warsztatach i biurach wielką mają zasługę: urzędnik „Arbeitseinsatzu“, Adam Leszek Zdrojewski, i majster warsztatu siodlarskiego, Karol Szczepański. Dzięki nim, a także dzięki wielu innym pracującym z poświęceniem i narażeniem własnego życia (jakież byłyby konsekwencje, gdyby się ta akcja wykryła!) wielu ludzi słabszych i młodocianych zostało w ten sposób uratowanych od pewnej śmierci. W warsztacie łatwiej jest przetrzymać niż w lesie czy na polu. Zwłaszcza w zimie, kiedy mróz dochodził do 20 stopni i ostry wiatr nadmorski do szpiku kości przewiewał odzianego tylko w koszulę i kusą marynarkę Häftlinga, bo palta czy kurtki dano na zimę dopiero w r. 1944. Przedtem więźniowie chodzili w Stutthofie w każdej porze roku w jednym i tym samym stroju.

Dzięki przemyślności Polaków, ich ofiarności i koleżeństwu — więźniowie zaczynają sobie radzić. Dużo ludzi dzieli się otrzymywanymi z domu paczkami z towarzyszami niedoli. Inni, mający „uboczne“ źródła wyżywienia (np. kuchnie czy magazyny żywnościowe), odstępują swoje porcje lagrowe kolegom. Zaczyna się na wielką skalę „organizowanie“, tj. okradanie SS-manów i magazynów obozu. Na lager wynosi się z magazynu lepszą odzież, buty, skarpetki — rzeczy przedtem niebywałe. Oczywiście ryzykuje się wtedy dużo, czasem życie, ale znany polski spryt przeważnie omija szczęśliwie wszystkie trudności.

W związku ze sprowadzeniem na teren obozu „cywilów“, tj. robotników i majstrów z wolności, zaczyna się szmugiel

odzieży, butów itp. poza obóz. Zaczyna kwitnąć handel wymienny. Odzież i buty skradzione z magazynów niemieckich są wymieniane na żywność i wódkę. Oczywiście te możliwości mieli przede wszystkim ci więźniowie, którzy byli na funkcjach w magazynach, w biurach itp. Cywilni robotnicy i majstrowie, a specjalnie pewien szofer Francuz, chętnie za jakieś części odzieży lub nawet czasami zupełnie bezinteresownie zabierali z sobą po pracy poza obóz listy więźniów do rodzin i wrzucali je do skrzynki w Gdańsku. W ten sposób powstały możliwości pisania listów „na lewo”, poza oficjalnymi kartkami, zawierającymi stereotypowe: „Jestem zdrow, nic mi nie potrzeba”. Od 1943 roku wolno było pisywać oficjalnie dwa razy miesięcznie i tyleż listów otrzymywać.

Jak na to wszystko, co się wkradło do obozu, reaguje komenda obozu? Przede wszystkim nie wiedziała ona o większości „nadużyć”, które działy się w obozie. Więźniowie kryli się z tym dobrze i złapani nie sypali kolegów. Polacy nie zdradzali na ogół wcale swoich współników. Rosjanie też nie robili tego prawie nigdy, gdy w przeciwieństwie do nich Niemcy, złapani na jakiejś „kombinacji”, sypali się nawzajem bez żadnych skrupułów.

Komendantura nie zdawała sobie sprawy ze sprytu i przemyślności więźniów. Powstała na terenie obozu tajna organizacja Rosjan, przygotowująca bunt. Polakom udało się stworzyć możliwe warunki w wielu miejscach pracy, dzięki ich solidarności. Rozpoczyna się w obozie stosowanie tempa „żółwia”. Wszyscy starają się pracować jak najwolniej, aby nie przyczyniać się do wzrostu potencjału wojennego znienawidzonego wroga. Nie zawsze się to udawało. Był przecież nadzór SS-manów, a i niektórzy kierujący pracą więźniowie wyłamywali się z solidarności. Niektórzy z majstrów (nawet Polacy) zmuszali więźniów do wytężonej pracy, często nawet ponad siły, mając idiotyczne na tym miejscu poczucie spełniania obowiązku. Wobec kogo? Wobec Niemców?

III. Organizacja obozu

Na czele obozu w Stutthofie od 1943 roku stał jako komendant Sturmbahnführer SS (major) Hoppe, który objął to stanowisko po majorze SS Paulim. Ten zaś odszedł w 1943 roku na równorzędne stanowisko do obozu w Neuengamme. Komendant Hoppe był to przystojny mężczyzna średniego wzrostu, który do spraw obozowych nie wtrącał się prawie wcale. Mieszkał w osobnej willi obok obozu. W samym obozie bywał rzadkim gościem. Między więźniami chodziła plotka (tak zwana po obozowemu „parola”), że komendant specjalnie wściekły i zdenerwowany jest w poniedziałki z powodów niewyjaśnionych. W ten dzień trzeba było się mieć na baczności i nie włożyć mu pod rękę.

Właściwym szefem obozu był zastępca komendanta I Schutzhaftlagerführer, Hauptsturmführer (kapitan) Meyer, zwany przez więźniów z powodu swej chudości i wzrostu „bocianem”. Był to nałogowy alkoholik, który jednak w chwilach świadomości lubił udawać sprawiedliwego i pozwalał więźniowi na obronę przed zarzucanymi mu przestępstwami. W rzeczywistości na niewiele się ta obrona zdawała, bo przeważnie z rozmowy z „bocianem” więźniowie wychodzili mocno pobici. Miał on własny motocykl, na którym rozbijał się,

aż wreszcie kiedyś po pijanemu wpadł na drzewo, rozbił motor, a sam od tego czasu lekko kulał.

Drugim Schutzhaftlagerführerem był Hauptsturmführer Sette. Przyszedł on do Stutthofu z Wehrmachtu, z frontu wschodniego. Nie był on sadystą jak Meyer i wielu innych, ale był za to niesamowicie głupi i naiwny. W swojej naiwności nie rozumiał, dlaczego więźniowie skarżą się i nie są zadowoleni z pobytu w obozie. „Przecież mieli i pomieszczenie, i wyżywienie, i ubranie“ (jego autentyczne słowa). Myślał on, że większość z nas życzy zwycięstwa Niemcom i w tym duchu nagabywał czasami poszczególnych więźniów. Miewał on czasem odruchy resztek sumienia, np zlitował się kiedyś nad świeżo przybyłymi kobietami z dziećmi i kazał im dać lepsze pomieszczenie. Ale takie wypadki zdarzały się bardzo rzadko. W rzeczywistości Sette, lekceważony przez Meyera, nie był nigdy dopuszczany do żadnej faktycznej władzy. Z innych oficerów najwyższe stanowisko miał szef zarządu gospodarczego (Verwaltung), Hauptsturmführer von Bonin i naczelnny lekarz, Hauptsturmführer Heydl. Było także paru młodszych oficerów przynależnych do komendantury, z których jedynym względnie przyzwoitym był lekarz-dentysta Obersturmführer. Nazwiska jego nie pamiętam.

Cała załoga obozu liczyła w 1944 roku ponad 800 osób. Z tego ponad 160 tworzyło tzw. Klommandanturstab. Byli to przeważnie podoficerowie używani do rozmaitych funkcji gospodarczych i administracyjnych w obozie.

Właściwą straż obozu stanowiło ponad 600 SS-manów, podzielonych na trzy kompanie i pełniących służbę kolejno. Byli to tzw. Posteni, czyli pełniący służbę na posterunkach wokół obozu, towarzyszący więźniom jako eskorta do pracy poza obozem, a w nocy pełniący służbę na wieżyczkach z karabinami maszynowymi. Jednym z największych sadystów był gruby Hauptsturmführer Rehdisch, dowódca jednej z tych kompanii.

Posteni składali się przeważnie z Niemców. Była jednak wśród nich grupa Łotyszów, około stu, i kilkudziesięciu

Ukraińców, charakterystycznych dzięki czarnym mundurom. Postępi mieszkali w barakach, położonych na zachód od obozu w lesie, w odległości około półtora kilometra. Sztab komendantury mieszkał bądź w samej komendanturze, bądź w barakach obok. Część tylko tych podoficerów mieszkała w barakach koło magazynów firmy Dehlert i SS-Bauleitung, pracujących na terenie obozu. Podoficerowie SS zajmowali przeważnie 1 pokój we dwóch.

Wszyscy SS-mani, z wyjątkiem oficerów, otrzymywali pożywienie ze zbiorowej kuchni. Dostawali oni mniej więcej 700 gramów chleba, 50 gramów margaryny, pewną ilość marmolady i co drugi dzień kawał kiełbasy lub kiszki. Na obiad miewali zazwyczaj tylko zupy: grochówki, kartoflanki itp. Wyjątkowo tylko zdarzały się obiady dwudaniowe, np. gulasz. Nic dziwnego, że nienadzwyczajnie żywieni SS-mani starali się polepszyć swój byt przez kombinowanie z więźniami.

Oprócz SS-manów mężczyzn były także w Stutthofie wachmanki — kobiety, tzw. SS-Aufseherin. Najpierw było ich kilka, potem w lecie 1944, w związku z powiększeniem się obozu kobiecego przez przybycie Żydówek, liczba ich wzrosła do kilkudziesięciu. Na czele aufseherek stała Oberaufseherin szykowna Niemka o zboczonych instynktach. Pamiętam kilka nazwisk spośród aufseherek. Wysoka, czarna, chuda Orlovius była jedną z najgorszych, szykanujących więźniarki ze specjalnym zamiłowaniem. Razu pewnego nawet jeden z SS-manów wstawił się za bitymi kobietami do tej aufseherki, co jest dowodem, jak dalece sięgały jej okrucieństwa. Druga, przystojna blondyna, Fräulein Papke, pracowała jako telefonistka w biurze komendantury. Ta była jeszcze możliwa. Poza tym były: Wanda Klaff, Gerda Steinhoff, Elżbieta Becker, Ewa Paradies, Wanda Bertmann i Goldfuss. Aufseherki rekrutowały się przeważnie z Niemek, ale były między nimi także i volksdeutschki z Pomorza. Pod względem moralnym stały one na bardzo niskim poziomie. Mizdrzyły się ciągle do SS-manów, a próbowały

zaczepiać także i więźniów, nie robiąc żadnej tajemnicy ze swoich zabiegów.

Ze względu na konsekwencje, grożące więźniom za stosunki z aufseherkami — Niemkami, nagabywani przez nie więźniowie wykręcali się, jak mogli. Pamiętam, jak pewnego dnia spocił się przystojny Lagerschreiber, Antoni Bizewski, kiedy w biały dzień na drodze obozowej przyczepiła się do niego jakaś aufseherka i rozpoczęła konwersację. Biedak drżał ze strachu, aby nie zauważył tego komendant albo któryś z oficerów. Doszło do tego, że komendant na odprawie zwrócił uwagę aufseherkom na niewłaściwość ich zachowywania się.

Szefem wszystkich podoficerów wchodzących w skład sztabu komendantury i bezpośrednim zwierzchnikiem całego obozu, najwięcej dającym się nam we znaki, był Rapportführer Hauptscharführer (starszy sierżant) Arno Chemnitz. Ten młody jeszcze człowiek miał na przedwcześnie postarzałej twarzy wypisane całe swoje zużycie, rozpustę i sadyzm. Mówił mało, znacznie częściej bił. Lubował się we własnoręcznym karaniu więźniów za różne przestępstwa, za które wzywano więźnia do Rapportführera.

Chemnitz chodził ciągle senny (skutki przebulanych nocy) i wiecznie nachmurzony. Służył już kilka lat w obozach koncentracyjnych. Był jednym z najwierniejszych hitlerowców. Do partii narodowo-socjalistycznej wstąpił w 1923 roku. W obozie wszyscy go się bali. Na jego widok zamierały wszystkie rozmowy i drżeli nawet więźniowie, stojący na najwyższych stanowiskach w obozie. Ze zdaniem Chemnitza liczył się nawet komendant, wobec którego umiał się Chemnitz postawić.

W zimie 1944/5 przyszedł do obozu drugi Rapportführer, Kupfer, lecz pozostawał on zawsze w cieniu Chemnitza. Podległymi bezpośrednio Rapportführerowi byli Blockführerzy, którzy pilnowali porządku w podległych sobie blokach, przyjmowali raporty na apelach, a potem zdawali raport Chemnitzowi. Za mojej bytności w Stutthofie było kilkunastu

Blockführerów. Pamiętam następujące nazwiska: Oberscharführerzy (sierżanci) — Meyer, Jahnke, Dreher, Milkau; Scharführer (plutonowy) Lüders; Unterscharführerzy (kaprale) — Jäger, Lüdtke, Peters, Zerlin; Rottenführerzy (starsi strzelcy) — Klawan, Schwarz, Sturman — Lehner.

Największym katem wśród nich był Oberscharführer Meyer, zwany Konfektionsmeyer, bo pracował przedtem w sklepie z konfekcją. W znęcaniu się nad więźniami wyróżniał się także Unterscharführer Peters. Oberscharführerzy Milkau i Dreher przybyli z Wehrmachtu i byli w obozie początkowo bardzo gorliwi w spełnianiu swych obowiązków. Potem usiłowali oni wygłaszać dla więźniów pogadanki anty-sowieckie, z których śmieliśmy się w kułak.

Rottenführer Klawan był to estoński Niemiec, względnie przyzwoity, ale niemiłosiernie naiwny. Wierzył on w ideały narodowo-socjalistyczne szczerze i usiłował je nam zaszczepić. Do końca wierzył w zwycięstwo Niemiec. Uważał się za ideowca i nie znęcał się nad więźniami. Było to na terenie naszego obozu dziwne zjawisko. Poza tym właściwie tylko Oberscharführer Jahrke i Unterscharführer Lüdtke zachowywali się przyzwoicie wobec więźniów. Czasami nawet okazywali nam pewne współczucie.

Rapportführer miał swoje biuro, Schreibstube, nad którą nadzór miał Unterscharführer Bublitz. Był to człowiek zepsuty do szpiku kości, zmaterializowany do ostatnich granic (okradał państwo niemieckie, jak tylko mógł). Do jego ciemnych kombinacji potrzebni mu byli więźniowie, toteż nie znęcał się specjalnie nad nimi. Nic go praca nie obchodziła, wszystko zwał na podwładnych sobie urzędników — Polaków. Myślał tylko o własnych interesach, a potem zbierał z zadowoloną miną pochwały od komendanta za dobre prowadzenie biura.

Bardzo ważną instytucją w obozie była Politische Abteilung. Zajmowało się to biuro prowadzeniem ewidencji więźniów według przyczyn osadzenia ich w obozie. Na czele Politische Abteilung stał Untersturmführer (podporucznik) Thun,

z którym współpracowali: Oberscharführer Lüdtkke i Unterscharführerzy König, Fritsche i Gräber. Ten ostatni zawiadywał atelier fotograficznym. König, volksdeutsch z Pomorza, lubił wódkę i to wiązało go z dostarczającymi mu ten trunek więźniami pracującymi pod jego kierownictwem. Dzięki temu w Politische Abteilung panowały możliwe warunki pracy.

Na czele Arbeitseinsatzu stał Unterscharführer Siegel. Jego zastępcą był Unterscharführer Reiss, również volksdeutsch z Pomorza. Szefem SS-Bauleitung, tzw. Bauleiterem był Obersturmführer Greis.

Na czele Verpflegung (wyżywienia) stał Oberscharführer Kuschel. Unterkunftverwaltung (zarząd ruchomościami) kierował Oberscharführer Krumreich. Geldverwaltung (depozyty pieniężne więźniów) — Oberscharführer Hapke, jeden z najgorszych służbistów w obozie. Kantyną zawiadywał Hauptscharführer Akolt, kuchnią więźniów — Scharführer Gröning. W szpitalu był Oberscharführer Heindrich i kilku innych. Magazynami odzieżowymi rządził Unterscharführer Knoth, cham, brutal i tępý sadysta. Robotami inwestycyjnymi w obozie kierował Unterscharführer Leising. Warsztatami DAW kierował Untersturmführer Meller i jego zastępcą Oberscharführer Lutz. Prócz tego każdy z warsztatów miał swojego osobnego szefa, tzw. Kommandoführera, np. w warsztacie szewskim był nim Unterscharführer Engler. Kommandem Truppenhandwerker zawiadywał Rottenführer Kuklau. Nazwisk wszystkich Kommandoführerów, kierujących poszczególnymi grupami, tzw. Kommandami, oczywiście nie pamiętam.

Obok tej organizacji SS-manów istniała podległa im organizacja więźniów, która pomagała w zarządzaniu obozem. Najwyżej postawionym w hierarchii więźniem był Fritz Selonke, Niemiec z Prus Wschodnich, kryminalista, nałogowy alkoholik, dla którego zabicie człowieka było drobnostką. Nie był on jednak zdecydowanym Polakożercą jak jego zastępcą, pierwszy Vorarbeiter Klifoth, który specjalnie prześladował Polaków. Klifoth, z zawodu kelner, był jeszcze bardziej skrytym i cynicznym łotrem niż Selonke. Sekretarzem

Selonkego (popularnie zwanego „Zielonką”) był lagerschreiber Antoni Bizewski. Był to kulturalny, młody człowiek, przyzwrotny, dosyć życzliwy, będący jednak w pewnym stopniu oportunistą. Do jego funkcji należało przygotowywanie wspólnie z biurem Chemnitza raportów.

Zasadniczy obóz dzielił się na 15 bloków. Na czele bloku pierwszego stał przez długi czas Balasch, Niemiec-kryminalista, potem Paul Kussauer, socjal-demokrata niemiecki i b. żołnierz legii cudzoziemskiej. Szrajberem był kryminalista Pabst, a później Polak Wanago. Za czasów Balascha i Pabsta blok pierwszy był najgorszym w obozie i uchodził za karny. Było w nim dużo Niemców. Kwitła pederastia. Polaków maltretowano tam straszliwie i okradano. Celował w tym zwłaszcza Pabst.

Blokowym drugiego bloku był Georg Hoffmann. Blok ten należał do gorszych. W jesieni urządzono w tym bloku tzw. Schonungsblock, tzn. grupowano tam wszystkich słabych, lżej chorych, dla których nie było miejsca w szpitalu, inwalidów, rekonwalescentów, słowem wszystkich, którzy nie mogli pracować, tzw. krypli.

Blok trzeci uchodził za średni. Prawie przez cały czas mego pobytu w Stutthofie blokowym na trójce był Niemiec Kirchtheisen.

Blok czwarty przez pewien okres czasu był zamieszkiwany prawie wyłącznie przez Rosjan. Blokowym jego był Niemiec Friedrich i wtedy blok słynął jako jeden z najgorszych. Potem blokowym został Emil Bilkovsky, który kontynuował tradycje swego poprzednika. Jednak na skutek różnych transportów przychodzących i odchodzących, blok 4. stracił w jesieni 1944 swoją rosyjską większość mieszkańców.

Blok piąty zamieszkiwali w jednej izbie Duńczycy i Norwegowie, po drugiej stronie mieszkali tzw. byli Polizeihäftlingen, tzn. pozostający w zależności nie tylko od komendanta obozu, ale jeszcze od właściwego im Gestapo w Gdańsku. Byli to przeważnie młodzi ludzie z Gdyni, aresztowani na skutek masowej wyspy wśród członków tajnej organizacji polskiej

jesienią 1942. Mieli oni przeważnie numery siedemnaście tysięcy kilkaset. Blokowym 5. bloku był długo kryminalista niemiecki Hölzel, ale solidarność polskich więźniów umożliwiła im uregulowanie stosunków w tym bloku.

Blok szósty został latem 1944 blokiem niemieckim. Tutaj mieli swoje osobne pokoje, wykrojone z części jadalni, Lagerältester Selonke i erster Vorarbeiter Klifoth. Stan ilościowy był mały, bo „arystokracja“ Niemców-kryminalistów nie lubiła tłoku. Jesienią dołączono tam jeszcze jako element lepiej traktowany Francuzów z legionu antysowieckiego, umieszczonych w Stutthofie za przestępstwa dyscyplinarne. Blok 6. znajdował się obok bramy i dlatego komenda obozu zgromadziła w nim najpewniejszy element, na który liczyła w razie ewentualnego buntu polsko-rosyjskiego w obozie. Blokowym 6. bloku długo był ziemczony Mazur Podgórski, który stracił rękę podczas jakiejś przypadkowej strzelaniny w obozie. Mimo to drugą ręką potrafił masakrować ludzi na śmierć. W jesieni 1944 za nadużycia na tle alkoholowym został usunięty, a na jego miejsce mianowano innego Niemca, Lehmana. Szrajberem na bloku 6., który nie miał tam wiele do gadania, był Polak Ciara, przyzwoity człowiek. Znaczenie szrajbera było na różnych blokach rozmaite. Czasem dzięki swojej indywidualności i protekcji szrajber mógł stać się faktycznym zastępcą blokowego, czasem jednak schodził do roli czysto biurowej, a zastępcą blokowego był sztabowy.

Blok siódmy był średni. Grupował przeważnie Polaków. Blokowym był najpierw Niemiec Fisch, a po jego odejściu za podobne nadużycia alkoholowe co Podgórski z 6. bloku blokowym został Polak Opiekuński. Pracował przedtem w krematorium i nosił się z zamiarem pisania swoich wspomnień z tego okresu. Lubił się boksować, jeszcze więcej lubił pić wódkę, ale mimo to nie był to najgorszy człowiek. W jesieni 1944 szrajberem 7. bloku został wspomniany już wyżej Franciszek Marciniak.

Blok ósmy miał w chwili naszego przyjazdu do Stutthofu najgorszą opinię w obozie. Zawdzięczał to swemu blokowemu

Kozłowskiemu, znanemu mordercy, jednemu z najgorszych katów w obozie. Po wyjeździe Kozłowskiego na stanowisko Lagerältestera w podobozie w Pölitz pod Szczecinem stosunki na bloku ósmym poprawiły się nieco. Blokowym został trochę przyzwoitszy Polak Homa, szrajberem — Polak Nowicki. W bloku ósmym miał swój osobny pokój Lagerschreiber Antoni Bizewski.

Blok dziewiąty należał do średnich. Blokowym był Polak Gordon, dosyć porywczy, ale pozostawał on pod łagodzącym wpływem księży polskich. Szrajberem na 9. bloku był sympatyczny Czech — Jan.

Blok dziesiąty był początkowo uważany za jeden z lepszych. Potem stosunki pogorszyły się znacznie. Blokowym był najpierw volksdeutsch Georg Kowalski, potem Stanisław Szczęśniak. Dużą rolę odgrywał tu szrajber Pawłowski, specjalista od wymuszania na więźniach darów ze swoich paczek, często w dużych ilościach. Ale „szarą eminencją“ bloku i postrachem więźniów był kryminalista niemiecki Georg, pętający się już od kilkunastu lat po rozmaitych więzieniach i obozach, ponury sadysta, który był chory, jeżeli codziennie kogoś nie zbił. Zarówno blokowy jak i szrajber Pawłowski ulegali mu całkowicie i wchodzili z nim w sojusz celem zlikwidowania niewygodnego więźnia. Tak było w sprawie Ćwirkowskiego, którego Pawłowski oskarżył, mając do niego urazę za niedzielenie się z nim paczkami, niesłusznie o kradzież, a którego potem Georg zbił z polecenia Pawłowskiego niemilosierdzie. Na sztubie „A“ bloku 10. rządził faktycznie sztubowy Stefan Lamentowicz, który lubował się w maltretowaniu zwłaszcza inteligentów warszawskich.

W bloku jedenastym znajdowała się kantyna, w której pracowali jeden Polak i jeden Litwin, następnie mieściły się tam biura Arbeitseinsatzu, a w przerobionej na izbę mieszkalną łazience mieszkali urzędnicy Arbeitseinsatzu. W drugiej połowie bloku mieszkało 40, a potem 46 Ehrenhäftlingów, noszących dla odróżnienia żółte opaski na ramieniu. Byli to przedstawiciele litewskiej inteligencji, aresztowani za podej-

zenie należenia do ruchu oporu. Potem dołączono do nich trzech łotewskich mężów stanu (syn prezydenta republiki Czakste, b. prezydent parlamentu łotewskiego i b. dyrektor departamentu w łotewskim MSZ — nazwisk dwóch ostatnich nie pamiętam) i kilku wyższych oficerów litewskiego sztabu generalnego. Prócz tego na 11. bloku byli pracownicy Unterkunftverwaltung i zegarmistrz Polak Morawski ze Starogardu.

Blok dwunasty był jednym z lepszych. Zamieszkiwali go przeważnie Polacy, którzy wywierali duży wpływ łagodzący na porywczego blokowego Władysława Tomczyka, mającego przedtem rozmaite sprawy na sumieniu. Podczas mojej obecności zachowywał się względnie. Szrajberem był przyzwoity młody Polak Józef Filipiak. Jednym ze sztabowych był pełniący jednocześnie funkcję magazyniera w komorze odzieżowej kulturalny Polak Brzozowski. W bloku tym mieszkali przeważnie rzemieślnicy pracujący w DAW, głównie stolarze i malarze. Panował tam dobry nastrój i koleżeńska atmosfera.

W bloku trzynastym przez pewien czas mieszkali Duńczycy. Potem przeznaczono go dla Żydów, którzy najgorzej byli traktowani w obozie. Blok ten był jednym z najstraszniejszych. Blokowym był Niemiec Adolf Thaller, ale główną „załugę” w mordowaniu i znęcaniu się nad Żydami mają jego „pomagierzy”, których nazwisk, niestety, nie pamiętam.

Blok czternasty stał się na jesieni „Zugangsblokiem”, tzn. przechodzono tam kwarantannę. Blokowym był Polak Lechowski, który wymyślał specjalne szykany dla nowoprzybywających więźniów. Trzymał ich całymi godzinami na dworze, na deszczu i mrozie, bez ciepłej odzieży, czego przy odrobinie litości mógłby nie robić, bo wyraźnego przepisu na to ze strony komendantury nie było.

Blok piętnasty uchodził za reprezentacyjny. W sztubie „A” mieszkało długi czas tylko 100 więźniów, w sztubie „B” stu kilkudziesięciu (przeciętnie stany innych bloków wynosiły 600 i więcej). Więźniowie ci byli to przeważnie Polacy,

pracujący w biurach, kuchni lub bezpośrednio pracujący dla SS-manów, np. krawcy SS, i mający z tego powodu przywilej niemieszkania w łoku. W obozie nazywano ich prominentami. Było to oznaczenie pewnego rodzaju arystokracji obozowej. Dzięki małej ilości ludzi na bloku 15. panowała większa higiena i spokój niż gdzie indziej. Blokowym był Niemiec Bernard Vehring, małomówny, ale porywczy. Komenda obozu bardzo go forytowała. W hierarchii więźniów zajmował on trzecie miejsce po Selonkem i Klifothcie. Sztubowym był nałogowy pijak Władysław Mikołajczyk, niestety, w jakże rzadkich chwilach trzeźwości — przyzwoity, w chwilach zamroczenia — niepoczytalny. Szrajberem był śpiewak Langowski.

W bloku szesnastym mieściła się kuchnia i magazyny żywnościowe.

Kobiety mieszkaly w Stutthofie w tzw. starym lagrze. Był tam tylko jeden blok, za to mający kilka sztab. Ten blok kobiecy miał w roku 1944 stan 800 do 1000. Blokową była Jackowska, starsza już kobieta, lubiąca uchodzić za matkę swoich więźniarek. Robiła to tym skwapliwiej, żeby nie przypominać sobie, jak to niedawno ona sama flirtowała z Niemcami i maltretowała więźniarki. Jeszcze gorszą opinią cieszyła się zastępczyni blokowej, Walentyna Narewska, niska, przystojna blondynka, mająca sławę Messaliny. Zresztą pod względem moralności większość kobiet w obozie nie stała na właściwym poziomie.

Na ogół kobiety w r. 1944 miały lepsze warunki w obozie niż mężczyźni. Nie bito ich, miały lżejszą pracę i lepiej chodziły ubrane. Pracowały w warsztatach siodlarskich i krawieckich DAW, w magazynach odzieżowych i sprzątały komendanturę. Za najgorszą robotę uchodziła pralnia i nocna tam zmiana. Dzięki możliwości kontaktowania się z więźniakami kwitły flirty, korespondencje i bliskie stosunki między kobietami i mężczyznami.

Były to stosunki czysto zmysłowe, o miłości nie było mowy, a często wynikało to z pobudek materialnych. Oczywiście

ście, na tę „miłość“ mogli sobie pozwolić tylko więźniowie, będący na funkcjach, mający lepsze wyżywienie i możliwość kontaktowania się z obozem kobiecym. Spragnione rozrywek kobiety chętnie prowadziły korespondencję. Wnosiło to trochę urozmaicenia w szarym trybie życia. Często, mając dostęp do magazynów odzieżowych, kobiety przysyłały swoim „wybranym“ rozmaite części garderoby. Mężczyźni w zamian przysyłali im jedzenie i różne kobiece drobiazgi, które można było kupić na wolności za pośrednictwem cywilnych robotników.

Wśród kobiet mało było przestępczyni politycznych. Przeważnie siedziały one w obozie za ucieczkę z przymusowych robót w Niemczech (Arbeitsstelleverlassen). Najwięcej było Polek, potem dużo było Rosjanek, które tutaj wyżej stały moralnie od Polek, trochę Estonek i Łotyszek. Było też kilkadziesiąt Niemek, przeważnie zawodowych prostytutek. Trzy więźniarki, jedna Niemka i dwie Polki, zgłosiły się na ochotnika do domu publicznego (tzw. pufu), przeznaczonego dla SS-manów nie-Niemców, tj. Łotyszów i Ukraińców. Mieszkały one osobno w małym baraku, koło magazynu materiałów budowlanych. Miały lepsze jedzenie i ubranie i nie potrzebowały pracować. Z ich usług korzystali także panowie blokowi, oczywiście nieoficjalnie.

Przejdę teraz do omówienia rodzajów pracy w obozie.

Przydział pracy załatwiał biuro Arbeitseinsatzu, na czele którego stał Erich Rössler. Dużo do powiedzenia mieli tam Polacy, szczególnie Franciszek Herber i Adam Leszek Zdrojewski. Herber, człowiek bardzo porywczy, potrafił czasem uderzyć więźnia w twarz. Nerwy jego w ogóle nie były w porządku. Miał on jednak pewne zasługi w „dekowaniu“ rozmaitych Polaków w dobrych miejscach pracy. Opiekował się on szczególnie profesorem Rostafińskim. Leszek Zdrojewski miał pod względem „dekowania“ ludzi olbrzymie zasługi. Prócz nich pracowali jeszcze w Arbeitseinsatz: Zygmunt Musioł i Hugo Czarnowski, obaj bardzo przyzwoici ludzie z Pomorza, oraz Leopold Laskowski, Janusz Wituski, Mikołaj Mackie-

wicz, Bronisław Peplowski i inni. Od powyższego grona ujemnie odbijał gdańszczanin Helmut Werner, młody człowiek, wielki egoista, brutal, mściwy, zawzięty i trochę sadysta.

Arbeitseinsatz miał w różnych okresach rozmaitą ilość pracowników. Liczba ich dochodziła nawet do trzydziestu. Często jednak były redukcje i „wygryzanie” jednych protegowanych przez drugich, dochodziło do intryg i donosicielstwa. W jesieni w Arbeitseinsatz najważniejszy dział, bezpośredniego przydziału pracy, objął w miejsce Zdrojewskiego reichsdeutsch Matzkei. Stało się to w wyniku akcji komendy obozu, zmierzającej do powiększenia liczby reichsdeutschów na kierowniczych stanowiskach w obozie.

Drugim ważnym biurem w obozie było Politische Abteilung. Szefem polskich urzędników był Franciszek Włodarczyk, bardzo miły w obęjściu, ale już trochę zdemoralizowany przez pobyt w obozie.

Politische Abteilung zwane było złośliwie „Polnische Abteilung”, ponieważ pracowali tam prawie sami Polacy. Jedynym oficjalnym Niemcem był badacz Pisma Świętego, łódzki Niemiec, Wilhelm Schreier, który się sam za Niemca nie uważał. Był on zresztą, jak większość tych „Bibelforscherów”, bardzo przyzwoitym i kulturalnym człowiekiem. Poza tym w Politische Abteilung pracowali: Cieszyński, Wierzbicki, Jerzy Grabczyński, Jan Gwido, Adam Stelmach i inni.

Trzecim ważnym biurem w obozie było Rapportabteilung, zajmujące się ewidencją, statystyką i przygotowywaniem raportów i apelów. Ponieważ pracowałem w tym biurze blisko 5 miesięcy, omówię je szczegółowo jeszcze później. Tu nadmienię tylko, że na czele tego biura stał August Sikorski, jego zastępcą był Bronisław Nogajski, dalej pracowali tam Waldemar Bielawski, Antoni Rzyżkiewicz, Stanisław Milke i Tadeusz Fiutowski.

Duża część więźniów w obozie pracowała w DAW. Te olbrzymie zakłady, dające duży dochód akcjonariuszom, tj. SS, były podzielone na szereg warsztatów. Na czele DAW jako pierwszy Vorarbeiter stał Polak Szwarcbart, oportunistą,

o którym mawiano, że w pierwszych latach istnienia obozu w swych postępkach schodził poniżej godności ludzkiej. Na czele biura DAW stał Niemiec Scholtze, który później przez intrygi został na miejscu Szwarcbarta pierwszym Vorarbeiterem DAW. Schwarcbartowi oddano pod bezpośrednie kierownictwo trzy warsztaty: ciesielski, stolarski i malarski, jak to tzw. Holzsektor.

Biuro DAW mieściło się w małym budynku na północ od nowego lagru. Pracowało tam trzydziestu kilku urzędników, przeważnie Polaków, w dwóch wydziałach: technicznym i handlowym. Na starym lagrze mieściły się warsztaty: ciesielski, stolarski, i malarski. Ciesielskim kierował Krakowski, porywczy, z mało chlubną przeszłością. W warsztacie ciesielskim (Zimmerei) pracowało około stu więźniów. W warsztacie stolarskim również około stu. Kapem stolarni (Tischlerei) był Mak, a działu maszyn (Maschinenraum) Zygmunt Kwapisz, jeden z przyzwoitszych ludzi na funkcjach kapo. W malarni pracowało około 40 więźniów. Tworzyli oni zgraną paczkę razem ze swoim kapem Knopikiem. Malarze wyróżniali się dużą koleżeńskością, solidarnością i dobrym sercem.

Na nowym lagrze mieściła się reszta warsztatów DAW. Największym z nich był warsztat szewsko-siodlarski (Schuhmacherei-Sattlerei). Pracowało w nim stale ponad 300 więźniów. Czasami stan dochodził nawet do 500. Kapem był tu Goncarzewicz, rodem z Torunia. Człowiek dużych zalet, ale nerwowy i w zdenerwowaniu posuwający się nawet do bicia więźniów. Majstrami byli: kulturalny, subtelny i uczynny Karol Szczepański w dziale siodlarskim, Muzyk — w dziale szewskim oraz brutalny i fałszywy volksdeutsch z Wejherowa Smugała.

Na czele ślusarni (Schlosserei) stał Niemiec Bank. Pracowało tam około 200 więźniów. W zakładzie krawieckim (Schneiderei) pracowało ponad stu więźniów. Kapem był tu Szymański. W Waffenwerkstatt I, zwanym Gewehrkommando, bo produkowano tam i reperowano karabiny, pracowało ponad 200 więźniów. Kapem ich był Fabich — Polak. W Waf-

fenwerkstatt II, gdzie reperowano głównie pistolety maszynowe i automatyczne, pracowało dwudziestu paru więźniów. Tutaj kapem był Niemiec, komunista Bulwin. Prócz tego istniała kilkoosobowa ekspedycja (Versand), którą kierował Polak Hickiewicz.

Dla celów transportowych służyło 5 kolumn, każda składająca się z 10 ludzi i jednego wozu. Więźniowie słabowici i inwalidzi pracowali w tkalni i przędzalni, tzw. Gurtweberei. Pracowało tam ponad 300 ludzi.

Znaczna ilość więźniów pracowała w dawnej „Waldkolonne“, która obecnie przybrała nazwę SS u. Polizei-Bauleitung. Dzieliła się ona na następujące oddziały robocze: Holzverwertung, gdzie początkowo pracowali tylko małoletni, zajmowało się rąbaniem drzewa i karczowaniem terenów; Hóch- u. Tiefbau przeprowadzało roboty kanalizacyjne, kopiąc rowy; Bewässerung zajmowało się odwadnianiem terenu. Sondern-lager pracował nad budową obozu specjalnego w odległości około półtora km od nowego lagru. Były to przeważnie roboty budowlane. Zaunbau zajmowało się budową płotów kolczystych, okalających obóz. Strassenbau tłukło kamienie na budowę dróg obozowych. Firma Dehlert prowadziła w obczie roboty budowlane i karczowanie lasu. Firma Rommel zajmowała się budową dróg w obozie. Firmy te dostały zamówienie od komendanta obozu na wykonanie tych robót i płaciły komendantowi obozu za pracę przydzielonych więźniów.

Na północ od nowego lagru zbudowano podczas lata i jesieni 1944 dwie hale: w jednej z nich, zwanej tajemniczo Holzbau AG, mieściła się w rzeczywistości filia Focke-Wulffa, zajmująca się montowaniem części samolotów; w drugiej, zwanej Deltahalle, montowano motory i części maszyn.

Niektóre firmy wynajmowały więźniów do prac poza terenem obozu. Był to dodatkowy dochód dla komendatury. Ci więźniowie, pracujący poza obreębem obozu, chodzili stale w pasiakach, podczas gdy reszta miała przeważnie stare łachy, znaczone tylko czerwoną farbą na plecach i na spodniach w formie krzyży. Ponad pięciuset więźniów pracowało w fir-

mie Gerhard Epp, która zajmowała się budową fabryki maszyn w odległości około dwu km od obozu. Około stu dwudziestu więźniów pracowało w cegielni Undell. Od czasu do czasu także inne firmy wynajmowały grupy więźniów do pracy.

Duża ilość więźniów była zatrudniona wewnątrz obozu dla jego potrzeb. Przede wszystkim była kuchnia, w której pracowało około 40 więźniów, następnie Kartoffelschäler, gdzie obierano kartofle. Konta pieniężne więźniów były zarządzane przez Geldverwaltung, gdzie pracowało 5 więźniów. W Effektenkammer, gdzie przechowywano wszystko, co przyniósł więzień do obozu, pracowało kilkunastu więźniów. Była to jedna z najlepszych prac w obozie ze względu na olbrzymie możliwości okradania magazynów, co nazywało się w gwarze obozowej „organizowaniem”. Dobrą posadą było także Bekleidungskammer, gdzie zaopatrywano więźniów w odzież. Pracowało tam kilkunastu więźniów, między innymi Bibelforscher Raböse, Brzozowski, Jaworowski i inni. Unterkunftsverwaltung zaopatrywało więźniów w koce, mydło itp. Kapem był Niemiec Ott, pracował tam także Józef Brzeziński. Elektrycy dzielili się na trzech wybitnych specjalistów, tzw. Lagerelektriker (Czerwiński, Obara) i na około 40 zwykłych elektryków. W ogrodzie pracowało kilkudziesięciu więźniów. W Poststelle, która zajmowała się rozdziałem listów i paczek na poszczególne bloki, pracowali: Czech Rozicka, Polak Gaca i trzech innych. Kommandoführerem Poststelle był Unterscharführer Platz. Gaskammer zajmowało się dezynfekowaniem odzieży. W kantynie, w której przeważnie nic poza mydłem i wodą sodową nie było, pracowało dwóch więźniów. Trzy Lagertransporty, każdy składający się z kapa, 10 więźniów i wozu, zajmowały się transportem wewnątrz obozu. Kokskolonna, składająca się z kapa Kamińskiego i 10 więźniów, teoretycznie służyła do transportu opału, w praktyce jednak do wszystkich transportów. Scheisskommando wywoziło nieczystości. W krematorium pracowało początkowo trzech ludzi, na jesieni przydzielono do nich jeszcze czwartego, Alzatczyka, Toniego Kölna. Wszyscy — były to typy spod ciemnej

gwiazdy. Dostawali dodatkowe przydziały żywności, wódkę i papierosy od samego Chemnitza.

Wszystkie środki budowlane zgromadzone były na tzw. Bauhofie, gdzie pracowało około stu więźniów. Jednym z magazynierów był Leonard Szynkiewicz. Planowaniem robót budowlanych zajmowało się Baubüro, gdzie pracowało dwudziestu kilku więźniów. Kapem był Austriak Gaugusch. Z Polaków pracowali tam: Gerard Szynkiewicz, płk. Ostrychański, kpt. Tempiski, Lewandowski i inni.

Pewna część więźniów pracowała na wyłączny użytek SS-manów. Kommando Bauleitung neues Lagers wykonywała wszelkie roboty budowlane dla SS. Kapem był Kucharski. Truppenhandwerker — było to kilkunastu szewców i krawców, pracujących dla SS. Kilku więźniów obsługiwało stajnię, 10 więźniów pracowało w Autogarage. Kilku było fryzjerami SS-manów. Kilkunastu jako Bedienung Mannschaftsraum pełniło funkcje kelnerów. Ci jadali obiady z kuchni SS. Dwóch więźniów pracowało w magazynie broni.

Bardzo dużo więźniów przebywało w podobozach, które powstały przeważnie w lecie i jesieni 1944. Najstarszym Aussenkommando, tzn. podobozem, była SS — Unterführerschule in Lauenburg (Szkoła Młodszych Dowódców SS w Lęborku). Pracowało tam 55 więźniów, spełniając funkcje gospodarcze. W Rosenberg pod Brodnicą pracowało w tartaku 10 Duńczyków. W Reimantsfelde pod Elblągiem w cegielni Hopehill pracowało 300 więźniów; było to karne Kommando, praca była ciężka i śmiertelność duża. W 1944 poprawiło się tam trochę. W sierpniu 1944 stworzono nowe Aussenkommando w Gdańsku w stoczni, w Troyl, tzw. Danzigerwerft. Najpierw pojechało tam 300 więźniów, potem liczba ich wzrosła do 800. Było tam rozmaicie: gorzej i lepiej. Kiedy Lagerältesterem był wspomniany już poprzednio Musolf, Danzigerwerft uchodził za jedno z najgorszych. Potem, gdy Lagerältesterem został Gdaniec, znacznie się poprawiło. Więźniowie pracowali przeważnie jako metalowcy przy budowie łodzi podwodnych. Było stamtąd łatwiej uciec, więc dlatego

zgłaszali się tak licznie warszawiacy. Kilku z nich udało się naprawdę zbiec, ale większość złapano bardzo szybko. Złapani lub posądzeni o przygotowanie ucieczki więźniów był wywożony do Stutthofu, gdzie dostawał 25 batów, Fluchtpunkt, tzn. czerwono-niebieski krążek na plecach i spodniach, i przydzielano do ciężkiej pracy, najczęściej przy wywożeniu nieczystości, tzw. Scheisskommando. Jeżeli w czasie ucieczki popełnił kradzież, gwałt lub porwał się na Niemca, był skazywany na śmierć. Ale o tym napiszę obszerniej później.

Na jesieni 1944 zostało utworzone Aussenkommando Deutsche Werke Gotenhafen, tzn. stocznia w Gdyni, mieszcząca się na Babich Dołach niedaleko Oksywia. Pracowało tam około 600 więźniów. Lagerältesterem był Krakowski. Mimo uprzedniego reklamowania podobóz ten okazał się jednym z gorszych. Jesienią 1944, podczas nalotu amerykańskiego na Gdynię, bomby padły także na obóz i zginęło kilkunastu więźniów.

Jesienią 1944 utworzono także podobóz w Elblągu przy firmie Schichau. Była to wielka stocznia, fabryka maszyn i lokomotyw. Pracowało tam tysiąc kilkuset więźniów. Praca była ciężka, dochodziła do 14 godz. na dobę. Szczególnie ciężko było w dziale budowy lokomotyw, tzw. Lockbau, który więźniowie tam pracujący nazwali piekłem na ziemi. Wściekłe zimno, długa i ciężka praca, kiepskie odżywianie, gorsze nawet niż w Stutthofie, uczyniły z Elbingschichau jedno z najgorszych Aussenkommand, które zostało uznane nawet za karne. Ludzie ginęli tam masowo.

Ale bezwzględnie najgorszy był podobóz Pölitz pod Szczecinem, gdzie dwa tysiące kilkuset więźniów pracowało najpierw w fabryce benzyny syntetycznej, a po zbombardowaniu tejże — nad budową bunkrów. Niesłychanie ciężka i niezdrowa praca i specjalny dobór kapów, z osławionym Kozłowskim na czele, przyczyniały się do ogromnej śmiertelności. W ciągu 4 miesięcy umarło tam 600 ludzi, a trzystu kilkudziesięciu odesłano do Stutthofu jako chorych i niezdatnych. Ciągłe musiano wysyłać tam świeże uzupełnienia ze zdrowych więź-

niów. Sam Kozłowski, ponury sadysta, uganiał się rano z deską - kantówką po obozie i bił, kto mu pod rękę wpadł, a wieczorem grał na mandolinie sentymentalne piosenki. Z ulgą powitaliśmy któregoś dnia wiadomość, że 4 najgorszych katów — kapów zielonych — zapiło się na śmierć alkoholem metylowym w Pölitz. Byli to Friedrich, Neumann, Hölzel i Lüge. Urzędnicy Polacy starali się zwrócić komendanturze obozu uwagę na zbrodniczą działalność Kozłowskiego. Oczywiście, aby komendantura w ogóle zainteresowała się tym, trzeba było to motywować, że państwu niemieckiemu potrzebni są ludzie do pracy, a Kozłowski robi z więźniów, mających pracować, krypli, tzn. ludzi niezdolnych zupełnie do pracy. Te uwagi i napomknienia Polaków odniosły ten skutek, że w zimie Hauptsturmführer Meyer pojechał osobiście na inspekcję do Pölitz i rzekomo miało się tam coś zmienić.

Wszystkie te Aussenkommanda były męskie i aryjskie, tzn. Żydów tam nie wysyłano. Żydzi pojechali za to gdzie indziej. Oto w Słupsku pracowało w warsztatach kolejowych około 340 Żydów i 260 Żydówek. Na 5 lotniskach: Heiligenbeil, Schifftenbeil, Serappen, Gerdauen i Jesau pracowało po 100 Żydów i 900 Żydówek. Z lotnisk, znajdujących się w Prusach Wschodnich, najszybciej zlikwidowano Gerdauen, w którym część więźniów późną jesienią 1944 wymarła, resztę przewieziono z powrotem do Stutthofu. Los innych Aussenkommand Flugplatzów żydowskich po ewakuacji obozu jest mi nieznany. W Królewcu pracowało w fabryce wagonów 500 Żydów, w Prauscie (Pruszczy) pod Gdańskiem istniały dwa Aussenkommanda żydowskie żeńskie po 500 kobiet. Jedne pracowały przy budowie lotniska, drugie w warsztatach kolejowych. W Brusach pod Chojnicami na poligonie ćwiczebnym SS pracowało około 800 Żydówek. W Toruniu w firmie AEG pracowało również około 500 Żydówek. W Danzig Burggraben-Kokoszki pracowało 1500 Żydów. Najcięższa jednak praca była w Aussenkommando Thorn OT (Organisation Todt) i Elbing OT. W Thorn OT pracowało około 5000 Żydówek, w Elbing OT 3500 Żydówek przy budowie fortyfika-

cji, w strasznych warunkach higienicznych. Na skutek ciężkiej pracy i złego odżywiania w ciągu trzech miesięcy w Thorn OT zmarło ponad 1500 Żydówek, a w Elbing OT ponad 700. Aussenkommanda te były porozdzielane na mniejsze grupy i pracowały w różnych częściach Pomorza.

Osobno należy omówić szpital. Znajdował się on na terenie starego lagru i składał się z kompleksu budynków. Od strony wschodniej były: apteka, łaznia, ambulatorium, sala operacyjna, kancelaria, pokój lekarzy i pielęgniarzy. Na północ były położone oddziały szpitala, tzw. stacje. Cały szpital popularnie zwany był rewirem. Stacji było dwanaście. Każda miała stałego dyżurnego pielęgniarza, tzw. Pflegera i lekarza. Pierwsza stacja, mająca około 20 łóżek, była przeznaczona dla prominentów, czyli arystokracji obozowej. Na stacji 2, 3, 4, 5 — leżeli chorzy na przypadki chirurgiczne; 6, 7, 8, 9, 10 przyjmowała pacjentów na choroby wewnętrzne. Stacja 11, zwana popularnie TbC (Tuberculose — gruźlica) miała 2 pododdziały: na jednym leżeli podejrzani o gruźlicę, na drugim — więźniowie z otwartą gruźlicą. Stacja 12, zakaźna, miała osobny budynek w centrum, dzieliła się na dwa pododdziały: po lewej stronie leżeli chorzy na krwawą dysenterię, po prawej — chorzy na tyfus, różę itp. Obok stacji 12 znajdowała się kostnica, tzw. Totenkammer.

W obozie, w lecie 1944, umierało po kilku ludzi dziennie. Śmiertelność stopniowo zwiększała się i po przybyciu Żydów wzrosła w grudniu 1944 do znacznej liczby 4300 zmarłych śmiercią naturalną na stan obozu około 50000. Przyczyną śmierci były przeważnie AKS (Allgemeine körperliche Schwäche — ogólne wycieńczenie organizmu), następnie flegmona, czyli puchlizna, która rozpoczynając się od nóg dochodziła do serca, poza tym gruźlica, a w jesieni i zimie tyfus, którego epidemia wtedy wybuchła. Zdarzały się często wypadki uśmiercania najciężej chorych więźniów za pomocą zastrzyków fenolu. Pamiętam dwie takie akcje w październiku i listopadzie 1944. Zamordowano wówczas po kilkudziesięciu więźniów, głównie Rosjan i Włochów.

Lekarzem naczelnym był dr Wojewski, więzień z Wejherowa. Większość lekarzy składała się z Polaków, jak dr Łoziński, Drobner-Kwiatkowski, Hryniewicz-Moczulski, Wolański, Kaczyński, Witkowski, Duszyński i inni. Specjalistą od chorób zakaźnych był młody lekarz z pochodzenia Łotysz, a z wychowania i światopoglądu kosmopolita, Soprunows, zwany popularnie Gärtner. Poza tym było kilku lekarzy innych narodowości, między innymi jeden Litwin, jeden Rosjanin. Nie wszyscy ci lekarze stali na wysokości zadania. Szczególnie ci, którzy już dawno przebywali w obozie, byli zdemoralizowani i mało dbali o faktyczną opiekę nad więźniami. Np. dr Kaczyński miał bardzo niesławną przeszłość w obozie. Potem usiłował się rehabilitować w podobozie w Pölitz pod Szczecinem, gdzie był naczelnym lekarzem. Im krócej był dany lekarz w obozie, tym ofiarniej pracował. Wnosił wówczas więcej entuzjazmu i idealizmu do swojej niewątpliwie ciężkiej pracy. Za najlepszego lekarza uchodził Soprunows. W świecie lekarskim działały się różne intrygi, w wyniku których wysyłano niewygodnych lekarzy do podobozów. Tak np. dr Drobner-Kwiatkowski pojechał do Elbląga, a dr Łoziński do Hopehillu. W pierwszym okresie istnienia obozu nie od razu lekarz mógł dostać przydział do pracy w szpitalu. Często musiał najpierw pracować ciężko fizycznie i ten jego staż obozowy odbijał się potem ujemnie na pracy w szpitalu. Nabierał przy tym brutalności, stawał się egoistą i przychodził już wyczerpany nerwowo. Położenie materialne lekarzy było nieco lepsze niż innych więźniów. Poza swoimi paczkami otrzymywali czasem podarki od więźniów, przy czym często kosztem prawdziwie chorych, którzy nie mogli być przyjęci do szpitala z powodu braku miejsca. Na jesieni szpital, obliczony na jakieś 600 miejsc, liczył ponad 1000 chorych. Leżeli po dwóch w jednym łóżku. Kryterium przyjęcia do szpitala była gorączka ponad 38 stopni, ciężkie obrażenia ciała lub choroba zakaźna.

Do szpitala zgłaszano się zasadniczo rano u szrajbera swego bloku. Potem łączono wszystkich chorych z całego obo-

zu w jedną kolumnę i po odejściu reszty więźniów do pracy pochód udawał się na miejsce przeznaczenia. Przed budynkiem szpitala odbywała się selekcja. Nielicznych przyjmowano, niektórym chorym robiono opatrunki papierowe, a tych, których uznano za symulantów, traktowano brutalnie. Zęby leczono przeważnie metodą wyrywania. Na plombowanie trzeba było mieć osobne zezwolenie i pieniądze na swoim koncie.

Na jesieni zdarzało się coraz częściej, że więźniowie umierali w nocy w łóżkach. Rano zmarłych niesiono na końcu pochodu chorych, zgłoszonych do szpitala, i odnoszono ich do kostnicy. Następnie, układając po kilka trupów w jednej trumnie, odwożono do krematorium, którego pojemność wynosiła około 150 zmarłych dziennie. Z chwilą, gdy na jesieni i w zimie śmiertelność w obozie zaczęła przekraczać tę normę, robiono z ciał stosy pod lasem na wolnym powietrzu, podłożone drzewo polewano benzyną i podpalano. Był to wówczas makabryczny widok, zwłaszcza wieczorem. Ciała zmarłych pod wpływem gorąca zaczynały się poruszać, podnosiły ręce do góry, a czasem powstawały. Naokoło ognia chodzili blokowi zaopatrzeni w długie drągi, którymi wpychali z powrotem do ognia spadające ciała. Nie trzeba dodawać, że dokoła rozchodził się straszliwy śwąd.

Do personelu szpitala należeli pielęgniarze, tzw. Pflegerzy, i personel administracyjny. Pflegerzy — były to przeważnie typy spod ciemnej gwiazdy, nie mający nic wspólnego z pielęgniarstwem. Niektórzy z nich znęcali się nad chorymi, jak osławiony Czerwiński z Brodnicy, który we wrześniu 1944 został razem z kilkoma kompanami karnie wysłany do obozu w Neuengamme za niedozwolone stosunki z kobietami.

Sytuację w szpitalu poprawiło dopiero przyjście 10 więźniów — pielęgniarzy z obozu w Dachau. Byli to przeważnie studenci medycyny: dwóch Francuzów — Paul Weill i Alphonse Kinet, dwóch Jugosłowian, dwóch Niemców, dwóch Polaków, jeden Norweg i jeden Luksemburczyk. Na stanowisko dentysty przyszedł potem z Sachsenhausen Niemiec, siedzący

za udział w wojnie domowej w Hiszpanii po stronie republikańskiej, czyli tzw. Rotspanier. Personelem pomocniczym w szpitalu byli tak zwani Hauserzy, czyli posługacze wybierani spośród rekonwalescentów. Personel administracyjny składał się z intendenta i kilku pisarzy, na czele których stał węgierski Niemiec, Bensch.

W szpitalu, z powodu braku środków lekarskich, przeważnie nie leczono w ogóle. Na krwawą dysenterię dawano węgiel w proszku i sucharki. Choroby wewnętrzne leczono aspiryną. Udawały się też czasem drobne operacje chirurgiczne. Chorzy w szpitalu otrzymywali przeważnie to samo jedzenie, co zdrowi więźniowie. Niektórzy, mający znajomości, dostawali „dietę“, tzn. litr kaszy. Czasami Norwegowie, bardziej zasobni w żywność, ofiarowywali trochę chleba z serem czy bulionu dla chorych.

IV. Struktura społeczna obozu

Obóz koncentracyjny posiadał swoją specyficzną strukturę społeczną. Główną dominantą była tu rywalizacja o najwyższe stanowiska między „zielonymi”, przeważnie niemieckimi kryminalistami, a „czerwonymi” — politycznymi, przeważnie Polakami. Walka toczyła się o każde opróżnione stanowisko. Nie przebiegano też w środkach. Polacy mieli przewagę jako element bezwzględnie inteligentniejszy i solidarniejszy. Niemcy zaś byli popierani przez komendanturę obozu jako pewniejsi i dla swej brutalności bardziej pożądani. Niestety, ci Polacy na wyższych stanowiskach, którzy siedzieli już w obozie od początku jego istnienia, w swoich postępkach przeważnie solidaryzowali się z niemieckimi kryminalistami. Toteż osiągnięcie pewnych ustępstw czy dokonanie lepszych posunięć było w Stutthofie znacznie trudniejsze niż w Buchenwaldzie, Oświęcimiu czy Dachau. Brak tu było Polaków aktywnych, zahartowanych w walce konspiracyjnej, energicznych, zdolnych do poświęceń. Przeważał element pomorski, nie mający za sobą tego wspaniałego rozrostu podziemnej roboty, jaki miała Polska środkowa z Warszawą na czele. Organizacje tajne w Stutthofie nie miały ani wielkiego zasięgu liczbowego, ani efektywnych osiągnięć. Powyższa gru-

pa niemieckich kryminalistów i pewnej części Polaków stanowiła obozową „arystokrację“. Nazwano ich „prominentami“ lub „Speckjägerami“.

W roku 1944 komendantura obozu stworzyła instytucję, tzw. Vorzugshäftlingów, noszących literę V na mankiecie lewego rękawa. Dostawało się to wyróżnienie za różne zasługi, ale często i za wydajną pracę. Nie wszyscy Vorzugshäftlingi byli mordercami, ale jednak w znacznej części. Łączyły się z literą V pewne przywileje, jak prawo zapuszczania włosów, prawo pisywania listów co tydzień, czasami jakieś przydziały w formie piwa czy papierosów. Przede wszystkim jednak litera V wyróżniała danego więźnia. Liczył się z nim blokowy i kapo, a także często SS-man. Toteż „V“ było przedmiotem marzeń niektórych więźniów.

Z problemem Vorzugshäftlingów łączył się podobny problem „starych numerów“. Byli to więźniowie, przebywający tutaj już kilka lat, często od samego założenia obozu, i z tej racji mający niskie numery kolejne. Zazwyczaj do „starych numerów“ zaliczano pierwsze dwadzieścia tysięcy. Nie było tych więźniów dużo. Z pierwszych 7000 żyło może dwustu. W roku 1944 więźniów z numerami do 21 tysięcy było około 1500. Mieli oni specjalne przywileje i tworzyli pewną solidarną grupę. Uważali, że cierpienia, które przeżyli w pierwszych latach istnienia obozu, dają im prawo do większego z naszej strony szacunku i że należy im się pierwszeństwo we wszystkim. Jedzenie pobierali przed kolejką, spali pojedynczo, byli zwalniani od rozmaitych uciążliwych kontroli higienicznych. Mając duże stosunki wśród władz obozowych, ulokowali się przeważnie na dobrych „posadach“ i niechętnie widzieli tam nowych. Nie było dla nich ważne, za co dany więzień dostał się do obozu i co reprezentował na wolności. Ważne było tylko, jak długo był w obozie. Oni to przeważnie wprowadzali brutalny sposób odnoszenia się do innych więźniów i pominali godnością człowieka. Uważali, że skoro oni tyle wycierpieli, to możemy cierpieć i my. Mieli nawet pretensję, że dostajemy mniejszą „szkołę“ niż oni w swoim czasie. Na każdym kroku

podkreślali naszą niższość, używając pogardliwego wyrażenia „Zugangi“, tzn. nowoprzybyli.

„Zugang“ przez kilka tygodni lub miesięcy był w ogóle traktowany jak nie-człowiek. Ileż można by było zaoszczędzić niepotrzebnych cierpień więźniom, gdyby w duszach „starych numerów“ pozostało więcej człowieczeństwa. Oczywiście i wśród nich zdarzały się wyjątki. Kryminaliści niemieccy i część „starych numerów“ stanowili ową wspomnianą już „arystokrację“ obozu, szczyt społecznej budowy Stutthofu. Ludziom tym, którzy przeważnie przed wojną nie korzystali z dobrodziejstw kultury i cywilizacji, zostały teraz udostępnione rozmaite osiągnięcia, jakich nie mieli na wolności. Chodzili wyelegantowani, mieli po parę ubrań, długich butów. Wymuszali na więźniach oddawanie im z paczek lepszych rzeczy. Dzięki temu, że mieli dostęp do magazynów, mogli okradać je i od cywilów nabywać wódkę i delikatesy. Mieli oni często kochanki w żeńskim lub żydowskim obozie, oczywiście przeważnie niebezinteresownie. Sławnym stał się w Stutthofie urywek z listu jednej z dziewczyn do swego lubego: „Pragnę dwóch rzeczy: Ciebie i margaryny“. Były wypadki, że niektórzy Polacy tłumaczyli listy miłosne „zielenych“ kryminalistów Niemców do kobiet Polek.

Poniżej tej „arystokracji“ znajdował się stan średni. Składał się przeważnie z Polaków i z inteligentniejszych przedstawicieli innych narodowości. Ludzie ci pracowali jako rzemieślnicy w warsztatach i urzędnicy w biurach. Otrzymywali paczki i dzięki temu mogli jako tako egzystować. Nasz transport warszawski początkowo zaliczał się przeważnie do stanu średniego, później na skutek ustania dopływu paczek po powstaniu warszawskim znaczna część spadła do klasy proletariackiej obozu. Bardzo łatwo było spaść o klasę niżej w obozie, znacznie trudniej wydźwignąć się o szczebel wyżej. Proletariat obozowy składał się z wielkiej rzeszy Rosjan, Łotyszów, Litwinów i tej części Polaków, którzy nie mając żadnego fachu lub znajomości czy paczek od rodzin, musieli w obozie wykonywać najcięższe funkcje. Proletariat obozo-

wy zapelniał przeważnie szeregi Waldkolonne, cegielni i in. Losu człowieka, zepchniętego na najniższy szczebel obozowy, doznałem sam przez kilka tygodni.

Jeszcze niżej, na samym dnie znajdowali się Żydzi, nie mający przeważnie żadnych szans na polepszenie swego losu, z wyjątkiem może fachowców, niezbędnych Niemcom. W chwili mego przybycia do obozu w Stutthofie Żydów było niedużo. Większość ich (18.XII 1943 — 406 osób, 13.I 1944 — 505) wysłano do Oświęcimia, gdzie 700 z nich zaraz po przybyciu zagazowano. Teraz na terenie obozu znajdowało się jeszcze kilkudziesięciu Żydów, pracujących przeważnie jako rzemieślnicy.

Większe transporty Żydów zaczęły przychodzić w czerwcu 1944. Pierwszą grupę oznaczono numerami 37 do 40 tysięcy. Były to przeważnie Żydówki węgierskie, które przeszły przez Oświęcim. Potem napłynęły transporty z Wilna, Kowna, Rygi i Rewla. Dostali oni numery 41 do 45 tysięcy. Były to przeważnie kobiety. Umieszczono je w bloku 17, 18, 19 i 20, które odgrodzono od reszty obozu. Poza tym rozpoczęto w przyspieszonym tempie budowę 10 baraków na północ od obozu.

V. Czerwiec – sierpień 1944

W czerwcu 1944 przydzielono mnie przez protekcję do DAW — Schuhmacherei, mimo iż nie miałem pojęcia o szewstwie. Takich jak ja było tam więcej. Do takich „wybitnych fachowców“ był widocznie przyzwyczajony kapo Schuhmacherei, Goncarzewicz, który zaraz pierwszego dnia zapytał, kto z nas jest prawdziwym szewcem. Większość z nas, która się oczywiście do fachowości przyznać nie mogła, została odesłana do reperowania skórzanych tornistrów.

Więźniowie, pracujący już w tym dziale, przyjęli nas życzliwie. Wypytywano o Warszawę i dziwiono się ciągle pulsującemu życiu warszawskiemu, jakże innemu niż monotonia i bierność Pomorza. U siodlarzy nie zabawiłem długo, bo jeszcze tego samego dnia majster, Karol Szczepański, zaproponował mi, żebym zmienił zawód na tapicerski, o czym miałem równie „dobre“ pojęcie jak i o poprzednim zajęciu, to znaczy żadne. Tapicerzy, w liczbie kilkunastu, byli to przeważnie młodzi ludzie: nauczyciele, urzędnicy, uczniowie gimnazjalni. Pamiętam kilka nazwisk: Jędrzejek, Miller, Kusiewicz, Grabowski i jedyny fachowiec-tapicer, Peka. Nadzorował tę robotę leśniczy z Brodnicy, Balcerowicz.

Szefem całego działu był volksdeutsch Smugała z Wejherowa. Z tym miałem od samego początku jak najgorsze

przejścia. Nigdy mu się moja robota nie podobała. Żebym się jak najbardziej starał, zawsze było wolno, mało i źle. Uznał, że do obijania ceratą nie nadaje się i przeznaczył mnie do polstrowania, tzn. do napełniania włosiem siedzeń, które robiliśmy do samochodów wojskowych, nie przemęczając się zbyt. Byłoby dosyć wesoło i względnie przyjemnie, gdyby nie Smugała, zatruwający nam wszystkim życie. Nie lubił on inteligentów i, jak mógł, dokuczał. W przerwach w pracy, których było dwie po 15 minut, gotowaliśmy sobie herbatę lub jak kto miał co — to i inne rzeczy, oczywiście uważając, aby nie zaskoczył nas jakiś SS-man. Gdy któryś z nas zobaczył SS-mana przez okno, wołał: „Garnki z pieca!” i natychmiast wszystko znikało. Gdy niebezpieczeństwo minęło, wstawialiśmy z powrotem garnki na kuchnię.

W kilka dni po mnie przyszedł do Schuhmacherei mój młodszy brat (także za protekcją), który zaczął pracować u ry-marzy, reperujących futerały do lornetek polowych i ładownice. Nadzorował tę pracę bosman marynarki polskiej, Ryba, człowiek dość brutalny i łasy na podarunki z paczek.

Nasza praca w Schuhmacherei trwała pięć tygodni, aż dwudziestego któregoś lipca podczas dużej redukcji wyrzucono nas obu ku naszemu głębokiemu niezadowoleniu. W tym czasie mieszkaliśmy obaj z bratem w bloku 10. Póki dostawaliśmy duże i dobre paczki z Warszawy, stosunki mieliśmy tam dobre.

Wtedy pan szrajber Pawłowski był naszym wielkim „przyjacielem” i z tej racji zabierał nam przynajmniej jedną czwartą część każdej przesyłki. Ale nie było się do kogo na niego poskarżyć, a zresztą woleliśmy mieć spokój i milczeliśmy. Razu pewnego, gdy wytrzymałość moja przeszła już wszelkie granice, opowiedziałem o tym stałym haraczu kilku kolegom, którzy to powtórzyli głowie naszego transportu — profesorowi Rostafińskiemu. O tych rozmowach doszło okrężną drogą do Pawłowskiego, który zaczął się mścić na nas, szykanując wciąż i odgrażając się głośno. Napuszczał na nas

swego zastępcę, niemieckiego bandytę Georga, a ten dopiero dokuczał nam, ile mógł, a nawet bił po twarzy.

To zepchnięcie nas w dół w stosunkach blokowych już się utrzymało. Póki mieliśmy paczki, kręciło się koło nas wielu więźniów, którzy niby to z przyjaźni chętnie oddawali nam różne drobne przysługi. Początkowo w swej naiwności myślałem, iż robią to przez koleżeństwo. Toteż częstowałem ich stale swoimi paczkami, co robili zresztą i inni warszawiacy. Skończyła się ta idylla, gdy skończyły się podarki.

Jak już wspomniałem, niektórzy nasi oficerowie próbowali stworzyć w obozie organizację podziemną o charakterze bojowym. Trzon jej stanowić mieli warszawiacy. Liczyliśmy się z tym, że front może się szybko przybliżyć i wówczas będzie odpowiednia chwila dla zrobienia buntu w obozie i przebicia się na wolność. Sprawa buntu wyłoniła się nagle 26 lipca 1944. Tego dnia po południu, czując się chory nie poszedłem do pracy, zwolniwszy się u blokowego. Położyłem się spać i dopiero na krótko przed apelem obudziłem się. Wyszedszy na dwór spotkałem bladego jak ściana księdza Bartnika, który drżącym głosem powiadomił mnie, że dwunastu z naszego transportu zostało przed chwilą rozstrzelanych. Ksiądz Bartnik widział ich stojących przed Arbeitseinsatzem, dokąd ściągnięto ich z miejsc pracy, a następnie prowadzono ze związanymi rękami. Byli to: Czapski, Glaszczyka, Foks, Filipiak, inż. Olczak, Jerzy Wiśniewski, Mawdysz, inż. Wydźga, Jerzy Wyzimirski, Jerzy Załęski i kilku innych. Ze szpitala wzięto Janickiego, który leżał tam, mając jeszcze niewyleczone rany po pobiciu na Szucha. Byli to przeważnie ludzie, siedzący za budowę radiostacji nadawczych, lub też złapani, jak Foks i Janicki, podczas nadawania audycji do Anglii. Radiostacja nadawcza była traktowana przez Niemców na równi ze szpiegostwem.

Podczas ściągania skazańców z miejsc ich pracy pod Arbeitseinsatz zdarzył się wypadek, który mógł powiększyć jeszcze tragiczność tego faktu. Mianowicie, zamiast Jerzego Załęskiego (po niemiecku pisze się Georg Zaleski), nr 36266,

ściągnięto Grzegorza — Gregora Zaleskiego nr 36267. Dopiero pod Arbeitseinsatzem jeden z urzędników spostrzegł pomyłkę i przygotowanego już na śmierć Grzegorza odesłano z powrotem do pracy, gdzie powitano go jak powracającego z tamtego świata. Gdyby rozstrzelano Grzegorza Zaleskiego, zamiast Jerzego Załęskiego, ten ostatni nie uniknąłby śmierci, gdyż niemiecka „sprawiedliwość“ dokładnie i starannie wykonywała wyroki śmierci. Poległby tylko jeden więcej.

Dwunastu skazanych zginęło w komorze gazowej od strzałów w tył głowy. Dr Drobner-Kwiatkowski widział z okna szpitala, jak skazani wchodzili do komory pojedynczo. Ksiądz Bartnik, stojąc z daleka, udzielił im na odległość ostatniej absencji. Widząc to Jerzy Załęski uśmiechnął się smutno do księdza i zrobił znak krzyża świętego na dowód, że zrozumiał jego intencje.

Egzekucją tą byliśmy ogromnie przygnębieni. Zналиśmy tych ludzi dobrze i uważaliśmy, że jeśli ich na Pawiaku nie rozstrzelano, to w Stutthofie ocaleją. Inżynier Olczak, z którym rozmawiałem przed paru dniami, miał jakieś złe przeczucia. Mówił, iż miał złe sny i że niepokoi się brakiem listu od żony. Wszyscy ci straceni, z wyjątkiem jednego, należeli do trzeciej grupy warszawskiego transportu. Zaczęły więc chodzić pogłoski, że cała nasza trzecia grupa będzie w najbliższych dniach rozstrzelana. Wyroki tamte bowiem przysły z Sondergericht z Berlina i należy się spodziewać dalszych.

Trzeba było coś radzić, coś robić. Nie możemy przecież tak siedzieć bezczynnie i zginąć bezbronnie! Po naradzie z kolegami udaliśmy się do naszego szefa z organizacji bojowej, kapitana Janusza Tempskiego, z propozycją zrobienia buntu w obozie i przebicia się. Kpt. Tempski opracował szczegółowy plan akcji. Wiedzieliśmy, że większość z nas podczas tej nierównej walki zginie, ale może przynajmniej ktoś z nas przebije się na wolność. Zresztą uważaliśmy, że lepiej jest zginąć w walce niż w komorze gazowej. Byliśmy gotowi na wszystko. Poszedłem do spowiedzi do księdza Bartnika i przystąpiłem do komunii świętej. Zrobiło mi się lekko na duszy,

ogarnął mnie spokój i chciałem tylko jak najszybszego wybuchu naszego buntu.

Plan naszej akcji bojowej wyglądał następująco: z magazynów broni i reperacyjnych wykradziono już i przyniesiono na teren obozu kilkadziesiąt sztuk broni. Weszliśmy w porozumienie z pokrewną organizacją rosyjską, która także już miała sporo broni kradzionej. Poza tym Rosjanie byli w porozumieniu z kilkadziesiątoma Ukraińcami i Białorusinami z załogi obozu, którzy obiecali dopomóc w tej akcji. Nasza grupa uderzeniowa w ilości 50 ludzi i mniej więcej taka sama grupa Rosjan miały dokonać przebicia się przez bramę w niedzielę po południu, gdy załoga obozu jest częściowo urlopowana.

SS-manów na wieżyczkach mieliśmy wystrzelać i zanim nadejdzie im pomoc z odległych o półtora kilometra pomieszczeń reszty załogi zamierzaliśmy wydostać się z obozu poza bramę. Następnie trzeba było szybko pobiec do garażów i załadować się na samochody ciężarowe, które tam stały. Ponieważ kilku z nas umiało prowadzić auto, mieliśmy się na tych samochodach szybko oderwać od Stutthofu w kierunku na Puszczę Tucholską, aby połączyć się z działającymi tam partyzantami. Liczyliśmy na to, że przy wszczeniu strzelaniny w obozie zrobi się niesamowity bałagan. Zaskoczeni Niemcy stracą głowę i uda nam się przeprowadzić ten szaleńczy, mający małe szanse powodzenia plan. Lecz wszystko wydawało się lepsze od nieuchronnej śmierci z wyroku, która, zdawało się, groziła bezwzględnie nam z trzeciej grupy.

Miałem dowodzić sekcją, do której prócz kolegów wchodził i mój brat. Czekałem z utęsknieniem na tę niedzielę. Robiłem wciąż przygotowania do akcji. Za resztki swego jedzenia kupiłem dobry sweter, aby podczas ucieczki nie mieć na sobie kurtki z wymalowanym czerwonym krzyżem. Leczyłem starannie obolałe nogi i nie dbałem już o moją obozową przeszłość.

Nastrój pełen oczekiwania i zdenerwowania zaczął udzielać się wszystkim. Czuć było w powietrzu naprężoną sy-

tuację. Reszta niewtajemniczonych więźniów zaczęła się czegoś domyślać. Blokowy 10. bloku w sobotę po apelu wystąpił z publicznym ostrzeżeniem pod adresem tych, którzy szykują masową ucieczkę. Tajemnica więc nie została całkowicie dochowana, ale było nam już wszystko jedno.

Zbliżała się niedziela. O czwartej po południu mieliśmy zebrać się na punkcie alarmowym przy narożniku 15. bloku. Do mojej sekcji został przydzielony karabin maszynowy. Ale w niedzielę rano zjawił się niespodziewanie kpt. Tempski i oznajmił nam, że po naradzie z wyższymi oficerami postanowiono odwołać przygotowany bunt. Motywowano to tym, iż nie mamy prawa narażać całego obozu na straszliwe represje, które niechybnie spadłyby na obóz po wybuchu buntu. Dalej, wytłumaczono nam, iż plan akcji daje minimalne szanse powodzenia i wobec tego jest bezcelowy. Mogą przy tym zginąć ludzie niewinni, którzy przeżyliby obóz, i że wreszcie według ich informacji z Politische Abteilung o dalszych wyrokach śmierci w obozie chwilowo nie ma mowy.

Trzeba było więc, choć z ciężkim sercem, zrezygnować ze wszystkiego, wrócić znów do normalnego życia obozowego i oddać swe przyszłe losy wyłącznie w ręce Opatrzności Boskiej.

* * *

Po redukcji w Schuhmacherei dostałem przydział do Hoch- u. Tiefbau. Była to ciężka praca fizyczna, polegająca na kopaniu rowów kanalizacyjnych w podmokłym terenie. Starałem się „dekować“, jak mogłem, ale nie zawsze się to udawało. Trzeba było pracować bez względu na pogodę.

Pewnego dnia po ulewnym deszczu wróciłem wieczorem do bloku przemoczony, zmęczony śmiertelnie, z mocnym postanowieniem zmiany przydziału. Przyjaźniłem się wówczas z Francuzem, magistrem praw, nazwiskiem Pierre Brassac, który pracował w Arbeitseinsatz. Poprosiłem go, czy nie mógłby mi zrobić przydziału do Holzverwertung, gdzie pracował już mój brat. Brassac bardzo życzliwie odniósł się do mej

prośby. Już następnego dnia dostałem przydział do Holzverwertung. Po Hoch- u. Tiefbau stosunki tu wydały mi się rąjem. Zasadniczo była to praca przeznaczona dla małoletnich do lat 17, a polegała przeważnie na rąbaniu drzewa, gałęzi, piłowaniu grubych pni lub wyplataniu koszyków z wikliny. Nie wymagała dużego wysiłku, tym bardziej że kapo, Polak rodem z Chojnic, był człowiekiem zupełnie przyzwoitym. Dzięki posiadanym resztkom dobrych rzeczy z paczek udało mi się zdobyć jego sympatię. Toteż nie byłem wysyłany do zdarzających się sporadycznie prac transportowych na Bauhofie.

Niestety, trwało to krótko. Po jakimś tygodniu miejsce, na którym rąbaliśmy drzewo, stało się potrzebne dla niwelacji terenu. Miały tu stanąć nowe baraki. Wobec tego musieliśmy całe nasze składy opałów przenieść na drugą stronę drogi i to dość szybko. Zaczęła się wyteżona praca. Prócz gałęzi trzeba było przenosić pnie z korzeniami, tzw. karpie, bardzo ciężkie i trudne do uchwycenia. Na domiar złego zmienił się kapo, którym został teraz młody Ukrainiec Kola, zboczeniec i sadysta, mający za pomocnika niemieckiego kryminalistę, Geringa z Ełku. Ta dobrana para dobrze dawała się nam we znaki. Już nie można się było „dekować“ przy jakiejś lżejszej robocie. Musieliśmy dźwigać karpiny i byliśmy wysyłani stale do najgorszych robót transportowych, jak np. noszenie 50-kilogramowych worków z cementem. Wobec tego, że nie otrzymywałem już paczek z Warszawy, gdyż kontakt był przerwany wskutek powstania, a siły moje zaczęły wyraźnie słabnąć, zrozumiałem też, że długo nie wytrzymam tego rodzaju pracy.

Po trzech tygodniach w Holzverwertung postanowiłem jeszcze raz spróbować protekcji. Udałem się do urzędnika Arbeitseinsatzu, Leszka Zdrojewskiego, któremu już mówił o mnie Francuz Brassac (nie było go już w tym czasie w obozie), i poprosiłem o zmianę przydziału, gdyż nie mogę wytrzymać pod zwierzchnictwem tej niemiecko-ukraińskiej spółki. Leszek odniósł się do mnie bardzo życzliwie. Mojego

brata wsadził z powrotem do Schuhmacherei, a mnie przydzielił, na moją prośbę, do Hollerithkartei. Była to grupa kilkunastu inteligentów, siedząca — z braku miejsca w biurze Arbeitseinsatzu — w kantine i zajmująca się wypełnianiem kart indywidualnych każdego więźnia według pewnego ustalonego wzoru.

Hollerith był to wynalazca maszyny, segregującej na żądanie wszystkie karty indywidualne więźniów obozów koncentracyjnych, np. na narodowości, na rodzaje przestępstw, na płęć itp. Ponieważ karty te były wypełniane we wszystkich niemieckich obozach koncentracyjnych jednakowo, według ustalonego schematu, przeważnie cyframi, więc dla centrali w Berlinie było to wielkie udogodnienie dla celów statystycznych. Zajmowaliśmy się wypełnianiem kart nie tylko bieżących transportów, ale także transportów wstecz, od początków istnienia obozu. Jako podstawa do tego wypełniania służyły nam karty personalne Arbeitseinsatzu.

Karta Holleritha miała kilkanaście rubryk. Pamiętam niektóre z nich. Ponieważ wszystkie niemieckie obozy koncentracyjne były ponumerowane, przytoczę tu numerację: Nr 1 — Auschwitz, nr 2 — Buchenwald, nr 3 — Dachau, nr 4 — Flossenbergr, nr 5 — Grossrosen, nr 6 — Hertogenbusch, nr 7 — Mauthausen, nr 8 — Natzweiler, nr 9 — Neuengamme, nr 10 — Ravensbrück, nr 11 — Sachsenhausen (Oranienburg), nr 12 — Stutthof, nr 13 — obozy na terenie GG (np. K. L. Lublin — Majdanek), nr 14 — obozy na terenie Ostlandu (np. K. L. — Riga). W odpowiedniej rubryce wypełniało się z jakiego obozu więzień przybył, gdzie znajduje się obecnie i dokąd wyjechał. Każda narodowość miała swój numer. Polacy mieli, zdaje się, numer 23. Poza tym były rubryki następujące: numer więźnia, data urodzenia, rodzaj przestępstwa, zawód, ale tylko schematycznie: albo Facharbeiter, albo Hilfsarbeiter. Dalej płęć więźnia i jaka Sicherheitspolizei przekazała go do obozu. Praca przy wypełnianiu kart Holleritha nie była trudna, a nawet przyjemna. Zapoznawałem się trochę z organizacją obozu. Leszek Zdrojewski wystarał się nam

o „Zulagi“, to znaczy dodatkowe porcje chleba około 250 gr z margaryną i kawałkiem mięsa codziennie. „Zulagi“ te były zasadniczo przeznaczone dla ciężko pracujących, ale Leszek, z którym liczyła się nawet kuchnia jako z urzędnikiem Arbeits-einsatzu, potrafił wszystko wykombinować. Wobec nieotrzymywania paczek przez większość warszawiaków — „Zulagi“ te były dla nas prawdziwym dobrodziejstwem. Przy Holle-rithach pracowała przeważnie inteligencja i młodzież z warszawskiego transportu. Wywoływało to oczywiście oburzenie „starych numerów“, że „Zugangi — warszawiacy“ obsiedli to kommando.

Praca upływała nam dosyć przyjemnie, baliśmy się tylko kontroli kapa Arbeitseinsatzu, Rösslera, lub jego zastępcy, Polaka Herbera. Inni urzędnicy Arbeitseinsatzu, jak sympatyczny Polak Hugo Czarnowski i Leszek Zdrojewski, nie byli bynajmniej groźni, nie mieli w ogóle zwyczaju nas szykanować. Niestety było głównie to, że praca ta kończyła się i groziły redukcje. Co parę dni zwalniano po kilku z nas. Mnie się do tej pory udawało, pewnie dzięki Leszkowi, który okazywał mi sympatię. Używano nas teraz do rozmaitych pomocniczych prac w Arbeitseinsatz. Porządkowaliśmy tam karty personalne, pomagaliśmy przy wywoływaniu transportów itp.

W ciągu sierpnia przyszły do obozu olbrzymie transporty Żydów, tak że stan obozu wzrósł znacznie i wszystkie nowo-wybudowane bloki na północ od obozu były wypełnione. Tylko dwa bloki: 24 i 25 zostały przeznaczone na magazyny Effektenkammer. Wobec braku miejsca Żydówki upychano w niemiłosierny sposób, po tysiąc i więcej w jednym bloku. Wszystkim im golono głowy. Olbrzymia większość były to Żydówki węgierskie. Dalsze miejsca zajmowały w ich liczbie obywatelki polskie, litewskie, łotewskie i czeskie.

Transporty przychodziły przeważnie z Oświęcimia, ale były także z ewakuowanych obozów koncentracyjnych w Kownie, Rydze i Rewlu. Prawie codziennie przychodził lub odchodził jakiś transport. Toteż pracy było dużo.

Któregoś dnia zostałem wyznaczony przez Leszka do sprawdzenia listy transportu żydowskiego do Słupska. Wywołałem ich wszystkich i wtedy obokoczyło mnie kilkunastu Żydów, chcących dostać się na ten transport. Myśleli, że mam możliwość dopisania ich do tej listy. Ofiarowywali mi wieczne pióra, sacharynę i inne rzeczy, żebym ich tylko wciągnął na listę. Przekraczało to jednak zasięg moich możliwości.

VI. Rapportabteilung

Pod koniec sierpnia, któregoś dnia przed południem kazał mi Leszek pójść razem z Czarnowskim na stary lager do Rapportabteilung, aby tam przepisać listy zagazowanych Żydówek. Rozpoczęły się bowiem wtedy pierwsze egzekucje chorych i słabych Żydówek w komorze gazowej. Niemcy nazwali to oficjalnie „Sondernbehandlung“. W sierpniu na „SB“ poszło ponad 300 kobiet żydowskich, kilkudziesięciu Żydów i 70 Rosjan, przybyłych wprost z obozu jeńców wojennych.

Rapportabteilung zajmowało dwa pokoje, w bloku kobiecym na starym lagrze. Przyjęto nas tam bardzo życzliwie i ułatwiono wykonanie naszej pracy. Zostaliśmy na obiedzie, który był znacznie lepszy niż normalny obozowy. Prócz tego dostałem od Leszka, tytułem rekompensaty za stracony obiad obozowy, 2 „Zulagi“.

Następnego dnia Leszek zawiadomił mnie, że zostałem na stałe przydzielony do Rapportabteilung. Spytał mnie tylko czy umiem pisać na maszynie i czy dam sobie radę z niemieckim językiem. Odpowiedziałem mu, że jakoś to będzie. Okazało się, iż mój poprzednik w Rapportabteilung komuś się naraził i zażądano na tym miejscu zmiany. Miałem trochę tremy czy dam sobie radę, tym bardziej iż Leszek nadmienił, że bym się starał tam zostać, a nie będę żałował. Zaraz tego sa-

mego dnia po południu poszedłem z drugim kolegą, Stanisławem Milkiem z Płocka, bardzo przyzwoitym człowiekiem, pracującym już w Rapportabteilung od czerwca, do nowej pracy.

Na początek dostałem za zadanie obliczenie według pewnych list ogólnej liczby więźniów z podziałem na narodowości. Potem musiałem kilka list więźniów podzielić na tak zwane Alterstufen, tzn. grupy wieku: do lat 20, od 20 do 30, od 30 do 40 itd. aż ponad 60. Gdy i to zrobiłem, dali mi do liniowania rozmaite formularze. Starłem się dobrze wywiązywać z pracy i szybko oddawać robotę, bo zależało mi na tym, aby tu zostać na stałe, gdyż praca była lekka i nawet ciekawa.

Kolosalnym plusem tej pracy były jeszcze poczęstunki, jakie ja i Milke dostawaliśmy w Rapportabteilung. Zawsze otrzymywaliśmy na śniadanie po kilka kromek chleba, dodatkową porcję zupy (była to dieta szpitalna, przeważnie kasza) i na kolację znów chleb z margaryną, a czasem z masłem. Wszystkie te podarunki w Rapportabteilung pochodziły bądź to z paczek po zmarłych więźniach, które Rapportführer rozdzielał dla swego biura, bądź też ze zwiększonych przydziałów, jakie otrzymywali ci urzędnicy z kuchni obozowej.

Stały personel Rapportabteilung składał się zasadniczo z 4 osób, mieszkających na starym lagrze. Szefem Rapportabteilung był August Sikorski, urzędnik poczty polskiej w Gdańsku. Siedział on w obozie od początku jego istnienia z krótką przerwą w 1941 roku, kiedy po trzech miesiącach wolności, aresztowano go po raz drugi. Był to człowiek inteligentny, krystalicznego charakteru, bardzo dobrego serca, któremu wysokie stanowisko w obozie nie przewróciło w głowie. Bardzo pracowity i sumienny, zyskał sobie pełne zaufanie komendantury i Chemnitza. Z osobą Sikorskiego liczył się cały obóz, gdyż wiadano, jaki ma wpływ na Chemnitza. Ten bardzo solidny człowiek miał jednak i swoje wady. Były to nadmierna lękliwość i lojalność. Mógłby on zrobić dużo więcej dobrego na swoim stanowisku, gdyby był nieco odważniejszy w swoich wystąpieniach. Zastępcą jego był Bro-

niśław (Bruno) Nogajski, członek polskiego wywiadu na Pomorzu, rodem z Grudziądza. Siedział on w obozie od 1940 roku. Był to także przyzwoity człowiek, ale bardzo nerwowy i nadmiernie lubiący alkohol. Miał swoje humory i szybko unosił się gniewem. Gdy był w dobrym humorze, współpraca z nim była bardzo przyjemna. Częściej jednak było inaczej.

Trzecim pracownikiem Rapportabteilung, specjalnie przydzielonym do usług Hauptsturmführera Meyera, pierwszego Schutzhaftlagerführera, był dwudziestokilkuletni Waldemar Bielawski z Brodnicy. Siedział od stycznia 1943 za przynależność do tajnej organizacji polskiej. Był to sympatyczny chłopak, inteligentny, ale zblazowany i nerwowy. Lubił bardzo dużo mówić o sobie i o swoich sukcesach sercowych. Pracował zasadniczo oddzielnie w lokalu komendantury i uważał się za coś odrębnego od Sikorskiego i Nogajskiego, których trochę lekceważył, i nie chciał się z nimi dzielić ani swoimi paczkami, ani także pomagać im w pracy. Oni za to wyrażali się o nim coraz gorzej i w końcu wymówili mu obiady, które przyrządzała dla nich wszystkich blokowa kobiecego bloku, Jackowska. Z Jackowską i z jej zastępczynią, Narewską, mieli oni bardzo zażyłe stosunki, co mnie nawet dziwiło wobec niskiego poziomu moralnego tych kobiet. Ale widocznie chodziło im o sprawy utylitarne, tzn. o gotowanie, pranie, sprząatanie itp. Mieszkali bowiem wszyscy w osobnej izdebce za biurem, każdy z nich miał swoje łóżko.

Czwartym mieszkańcem był Antoni Rzyszkiewicz, mat marynarki polskiej, który dostał się do obozu po kapitulacji Gdyni. Spełniał on funkcje gońca i ordynansa Chemnitza. Czyścił mu buty, słał łóżko i załatwiał rozmaite polecenia. Miał z tego powodu duży prestiż w obozie. Jednak bliskość ołtarza uderzyła mu do głowy i uważał się za wielką osobistość. Pogardzał krócej siedzącymi od niego w obozie, cenił tylko „stare numery” i siłę fizyczną. W gruncie rzeczy nie był to chłopak zły, tylko zmanierowany pobytem w obozie i funkcją, dającą wyższość nad innymi więźniami. Słynął jako najlepszy „organizator” w obozie. Wszystko umiał zdobyć

i dlatego cenił go Chemnitz i inni SS-mani. Gdy potrzebowali zdobyć coś dla siebie, używali do tego Tolka, który przez swoje znajomości wynosił z magazynów żądane części garderoby czy buty.

Rapportabteilung zajmowało się prowadzeniem statystyki i ewidencji więźniów i sporządzaniem codziennych i okresowych raportów. Do kompetencji Rapportabteilung należało ustalanie stanu liczebnego więźniów na codziennych apelach. Zajmował się tym Sikorski z pomocą Milkego i lagerszrajbera Bizewskiego, który zbierał w ciągu dnia dane, ilu więźniów będzie tego dnia „odkomenderowanych“, tzn. nie zjawi się na apelu z powodu przedłużonej pracy.

Apele odbywały się zasadniczo rano i wieczorem, z tym że materiał do apelu południowego był zawsze gotów i w razie potrzeby (np. niezgadzanie się liczby powracających z pracy do obozu na obiad więźniów) mógł być natychmiast sprawdzony Bestand, tzn. stan więźniów. Nogajski z moją pomocą zajmował się skreślaniem z listy ewidencyjnej (tzw. Zugangsliste) i z książki więźniów (Häftlingsbuch) zmarłych, rozstrzelanych, zwolnionych i wyjeżdżających transportem do innego obozu. Prócz tego Nogajski prowadził ewidencję więźniów przebywających w szpitalu. Sprawdzał według meldunku szpitalnego nowoprzybyłych i skreślał zmarłych i zwolnionych ze szpitala. Bielawski zajmował się wypisywaniem na maszynie kart personalnych, które następnie segregował w specjalnych pudłach według rodzajów przestępstw i narodowości. Bielawski z Milkem na zmianę wpisywali nowoprzybyłych więźniów do książki, których było dwie o identycznych rubrykach: jedna dla Schutzhaftlagerführera, druga dla Rapportführera.

Codziennie wieczorem w specjalnych książeczkach wpisywało się dla użytku komendanta, Meyera i Chemnitza, stan obozu i dokładny podział służby Blockführerów. Ten podział służby, według z góry ustalonego schematu, był przepisany na maszynie i codziennie dostarczany Blockführerom, dla których były następujące rodzaje służby: dyżur przy bramie sta-

rego lagru, dyżur przy bramie nowego lagru w ciągu dnia, dyżur w bramie nowego lagru w ciągu nocy, kontrolowanie kolumn pracy, służba wewnątrz obozu, tzn. kontrolowanie bloków i kontrolowanie transportów przychodzących i odchodzących z obozu. Prócz tego każdy Blockführer miał swój obiekt oddany mu specjalnie do kontroli, od którego odbierał raport i zdawał go Chemnitzowi, sprawdzał paczki i cenzurował listy.

Praca ta zaczęła mnie coraz bardziej interesować i starałem się wykonywać ją dokładnie, a jednocześnie jak najwięcej zapamiętać i dotrzeć do wszystkich szczegółów administracji obozu. Zauważył to August Sikorski i kilkakrotnie podkreślił, że wszystko, co tu robię, musi pozostać tajemnicą dla reszty obozu. Pod żadnym pozorem nie wolno opowiadać, co tu widziałem lub słyszałem. Sikorski nie rozumiał zupełnie, jaką wartość dla późniejszych badaczy może mieć dotarcie i utrwalenie przez przepisywanie lub zapamiętanie różnych tajnych akt. Toteż, niestety, uniemożliwiał mi szczegółowe zbadanie rozmaitych dokumentów. Moja zbytnia ciekawość wzbudziła jego podejrzenie i kilka razy przestrzegał mnie, abym nic nie zapisywał sobie i że w razie stwierdzenia przenikania rozmaitych wiadomości z Rapportabteilung do obozu będę zmuszony przestać tu pracować.

Ponieważ stosunki w bloku 10. zupełnie się nie poprawiały, postanowiłem się przenieść. W tym celu udałem się do lagerszrajbera, którego teraz znałem osobiście, z prośbą, aby przeniósł mnie na blok 12. Lagerszrajber załatwił mi to życzliwie i w połowie września znalazłem się razem z bratem na bloku 12. w sztubie A. Było tam znacznie lepiej niż na 10. Prawie sami Polacy, dosyć kulturalni, szycan na ogół nie było. Toteż mogłem myśleć teraz o jakimś kulturalnym życiu.

W Rapportabteilung byłem używany także jako goniec. Funkcja ta dosyć ciekawa, bo dzięki niej poznałem cały obóz, miała jednak i swoje nieprzyjemne strony. Np. Unterscharführer Bubnitz, nasz bezpośredni szef, miał rozmaite kombinacje z więźniami. Po prostu z nimi handlował. Często kazał mi coś

od takiego więźnia przynieść. Cierpła mi skóra na myśl, co to będzie, jak mnie jakiś SS-man złapie niosącego skradziony lub zrobiony „na lewo“ artykuł. Jeżeli powiem, że Bublitza kazał mi to przynieść, będzie się na mnie mścił i postara się, żeby mnie wykończono. Jeśli winę wezmę na siebie, dostanę takie baty, że nie wiadomo czy z tego wyjdę. A odmówić żądaniu Bublitza było niesposób. Cała sztuka polegała na tym, aby nie dać się złapać. Bogu dzięki, jakoś szczęśliwie wszystko mi się udawało.

Stanowisko gońca miało także inne mocno nieprzyjemne strony. Chodziło mianowicie o sprowadzanie skazanych na śmierć więźniów do Rapportabteilung. Zasadniczo procedura postępowania wyglądała w ten sposób. Około godziny 4 po południu Oberscharführer Lüdtkę z Politische Abteilung przychodził do naszego biura z karteczką, na której miał wypisane numery i nazwiska danych więźniów. Właściwie sprowadzanie tych więźniów powinni załatwiać pracownicy Politische Abteilung, ale oni wykręcali się, jak mogli, zwalając to przykre zajęcie na nas. Ktoś z nas musiał iść po tych ludzi. Ponieważ byłem najmłodszy, więc kilka razy posyłano mnie. Musiałem pójść z tą kartką do Arbeitseinsatzu, dowiedzieć się, gdzie ci więźniowie pracują i sprowadzić ich pod Rapportabteilung. Ja z kolei starałem się zwalić tę funkcję na Arbeitseinsatz, ale nie zawsze się to udawało.

Kilka razy musiałem asystować przy takiej czynności. Wywołany więzień w ogóle nie wiedział, o co chodzi. Zresztą egzekucje przeważnie odbywały się na ludziach, którzy od niedawna siedzieli w obozie. Wyrok na nich przychodził z niewielkim opóźnieniem po ich przybyciu do obozu. Po drodze ludzie ci pytali się, po co się ich sprowadza. I bardzo przykra właśnie była ta odpowiedź. Zazwyczaj mówiło się „nie wiem“, albo „może na przesłuchanie“.

Za czasów mojej obecności w Rapportabteilung nie było dużo egzekucji. We wrześniu tylko kilka: za gwałt popełniony na Niemce, za sabotaż w fabryce amunicji. Później zdarzały się egzekucje rosyjskich spadochroniarzy, których nawet

w mundurach przywożono do Stutthofu. Gdy więc Lüttke z ironicznym uśmiechem wchodził po południu do Rapportabteilung z kartką, wiedzieliśmy, co to będzie. Skazańcy sprowadzeni pod Rapportabteilung czekali jakieś pół godziny, po czym przed samym apelem przychodził Chemnitz i Fott, którzy zabierali ich w stronę krematorium. Tam zabijano ich strzałem w tył głowy lub wieszano. Zdarzały się i egzekucje kobiet, szczególnie rosyjskich spadochroniarek. Czasami także przychodził transport z Gdańska, z którego od razu oddzielano kilka osób i zamykano w bunkrze, tzn. w małym budynku obok starego lagru w celach bez okien. Tych ludzi rozstrzeliwano zwykle przed apelem wieczornym. Zazwyczaj skazani na śmierć byli już z góry zaznaczeni w tajnych papierach, jakie ze sobą przywozili z danego gestapo. Takich ludzi nie wolno było transportować do żadnego innego obozu. Mógłby o tych tajnych aktach dużo powiedzieć Franciszek Włodarczyk, kierownik Politische Abteilung.

Transporty z innych i do innych obozów trwały ciągle. Ciekawe były opinie, jakie mieli więźniowie o innych obozach koncentracyjnych. Za najgorszą mordownię uchodził Mauthausen. Wywożono tam transporty więźniów z tzw. trzeciej grupy obozowej (dritte Lagerstufe). Podział na grupy pochodził z dawniejszych czasów. Każdy więzień otrzymywał kiedyś przydział do jednej z trzech grup. Pierwsza miała być traktowana lepiej, druga — normalnie, a trzecia, przeznaczona na wykończenie, była wywożona do najcięższych obozów. W Stutthofie bano się jak ognia transportów do Mauthausen. Wszędzie — tylko nie tam. W Mauthausen były te straszne kamieniołomy, mordownia tysięcy więźniów, i rządziła tam dobrana elita „zielonych“ kryminalistów. Podobną sławą cieszył się obóz w Grossrosen na Śląsku. Oświęcim nie miał już wówczas najgorszej opinii wśród więźniów. Znacznie gorzej było w podobozie w Birkenau (Brzezinka). Potwierdzali tę opinię Żydzi, przyjeżdżający z Oświęcimia.

Za pewne polepszenie losu uważano transport do Buchenwaldu (gdzie rządili niemieccy lewicowcy, a „zieloni“ nie

mieli nic do gadania) i do Dachau, które uchodziło wówczas za pensjonat w porównaniu do innych obozów. Do Dachau zwieźli Niemcy najwybitniejsze osobistości z całej Europy. Między innymi masę księży katolickich i ewangelickich.

Z kobiecych obozów za najgorszy uchodził Oświęcim. Okropną opinię miał obóz w Ravensbrück, gdzie dokonywano na zdrowych więźniarkach eksperymentów lekarskich i pseudonaukowych, kończących się często śmiercią lub kalectwem. Wobec tych obozów kobiecy obóz w Stutthofie uchodził za lżejszy.

Późne lato i jesień 1944 stały w Stutthofie pod znakiem Sondernbehandlung, tzn. masowych morderstw Żydów. Akcja ta była równoległa w wielu obozach. W Stutthofie objęła ona głównie kobiety żydowskie, których było tam znacznie więcej niż mężczyzn. Wybór skazanych zależał od widzi mi się Oberscharführera Fotta, pana i władcy żydowskiego obozu. Człowiek ten czuł się chory, jeżeli w ciągu dnia kogoś nie skatował. Ten krwawy sadysta zabijał własnoręcznie wybrane na śmierć kobiety w okresie, kiedy popsuła się komora gazowa. Od jego decyzji nie było żadnej apelacji. Codziennie ustawiał on cały obóz żydowski na kilkogodzinny apel i wybierał chore i słabowite kobiety. Najbardziej zewnętrzną oceną zdrowia był stan nóg i w tym celu Fott urządzał wyścigi między Żydówkami. Słabsze, które nie mogły biec, szły na śmierć. Dochodziło do tragicznych scen rozdzielania rodzin. Fott specjalnie wybierał kobiety w ciąży, jako niezdolne do pracy. Był wypadek, że jedna z młodych Żydówek, będąca w ciąży, zdołała uciec ze stojącej już osobno grupy skazanych i schowała się na strychu. Fott zauważył jej brak i rozpoczął szukanie. Wreszcie wykrył miejsce jej ukrycia i w triumfie sprowadził ją z powrotem do grupy skazanych. Przy wybieraniu musieli być obecni polscy urzędnicy z Arbeitseinsatzu dla spisывania numerów i nazwisk wybranych na śmierć. W miarę możliwości urzędnicy ci, a zwłaszcza Zygmunt Musioł, starali się pomóc Żydówkom. Zdarzyło się kilka wypadków, kiedy interwencja Musioła uratowała życie kilku ko-

bietom. Ale nie można było struny przeciągać i robić tego zbyt często.

Początkowo Żydówki nie wiedziały, po co są te segregacje. Szybko jednak zorientowały się, co oznacza to znikanie wybranych towarzyszek niedoli. Rozpoczęły więc bierny opór. Nie chciały iść na miejsce kaźni, odległe około 800 metrów od obozu. A i tam, na miejscu, nie chciały wchodzić posłusznie do komory gazowej. W odpowiedzi na to Niemcy zorganizowali ponurą komedię. Urządzili w powiększonej komorze gazowej pokój do przyjęć lekarskich i wprowadzali tam kobiety pod pretekstem badań. Gdy zdezorientowane kobiety wchodziły tam spokojnie, zatraskiwano drzwi i wpuszczano do wewnątrz gaz.

Jednak Polacy wykryli szybko ten nowy sposób mordowania i donieśli Żydówkom o tej metodzie, skutkiem czego Żydówki zaczęły się znów opierać. Wówczas Niemcy, głównie Chemnitz i Fott, wymyślili inną komedię: transport. Autentyczny wagon kolejowy, tzw. bydlęcy, podstawiano na bocznicę stutthofską i prowadzono do niego wybrane na śmierć kobiety. Wagon był uszczelniony i miał hermetycznie zamknięte drzwi, które zatraskiwano za wchodzącymi. Następnie przez otwór w dachu wpuszczano do wagonu gaz. Dla większego efektu i dla własnej zabawy SS-mani przebierali się w mundury kolejarzy niemieckich. Wszystko to działo się prawie na oczach męskiego obozu, który zaciskał zęby w poczuciu swojej bezsilności i groził w duchu zemstą krwawym oprawcom.

Codziennie, widać było grupę kilkudziesięciu Żydówek, prowadzonych przez zawsze uśmiechniętego Fotta w stronę krematorium. Trwało to przez sierpień, wrzesień i październik 1944. W początkach listopada zaczęła ta akcja wzrastać, aż nagle przyszedł rozkaz z Berlina: „Zaprzestać Sondernbehandlung“.

Ogółem zginęło w sierpniu mniej więcej ponad 300 kobiet i kilkudziesięciu mężczyzn, we wrześniu ponad 300 kobiet, w październiku ponad 600 kobiet i kilkudziesięciu mężczyzn,

w pierwszych dniach listopada dwieście kilkadziesiąt kobiet. Niektóre z nich przybyły bezpośrednio z innych obozów do krematorium w Stutthofie.

Pewnego razu byłem bezpośrednim świadkiem takiej śmiertelnej selekcji. W październiku 1944 przyszedł transport 150 kobiet z Torunia z podobozu Thorn OT. Odesłano je do Stutthofu jako niezdolne do pracy. Sikorski kazał mi pójść sprawdzić czy lista zgadza się i ustalić dokładną liczbę Żydówek w tym transporcie.

Kobiety te znajdowały się na polu przed obozem. Przedstawiały obraz godny najwyższego pożałowania. Kilka z nich nie mogło wstać z ziemi i leżało jęcząc tylko. Bardzo dużo tych kobiet było w ciąży lub też bezpośrednio po porodzie. Wszystkie straszliwie wychudzone, nogi miały pełne ran. Przyjechały z ciężkich robót fortyfikacyjnych. Z trudem sprawdziłem listę i chciałem już wrócić do biura, gdy SS-man zatrzymał mnie mówiąc, że będę jeszcze potrzebny. Po chwili przyszedł Czarnowski z Arbeitseinsatz, ale gdy zobaczył, że ja już listę sprawdziłem, uznał, że może iść coś zjeść. Prosił mnie tylko, abym został przy tym transporcie tak długo, aż on nie wróci, bo może się coś zmienić.

Istotnie za chwilę przyszedł naczelný lekarz Hauptsturmführer Heidl i Oberscharführer Heindrich i rozpoczęli selekcję. Jak się orientowałem, przede wszystkim patrzyli na nogi, a następnie pytali przez tłumaczkę (były to przeważnie węgierskie Żydówki), na co są chore. Kobiety w ciąży i chore na nogi kwalifikowano do jednej grupy. Kobiety lepiej wyglądające albo z jakimiś dolegliwościami wewnętrznymi — do drugiej grupy. Pierwsza grupa liczyła 86, druga 64 kobiety. Żydówki te nie zetknęły się jeszcze z tymi, które siedziały już dłużej w Stutthofie. Niektóre z nich myślały, że selekcja ta ma na celu wyodrębnienie ciężiej chorych, które pójda do szpitala. Myślały, że tam odpoczną trochę i podleczą się. Dlatego na ogół spokojnie się ustawiały. Jedna tylko młoda Żydóweczka, znająca język niemiecki, zaczęła płakać i krzyczeć, że ona nie chce umierać, że ona nie chce iść z tymi chorymi.

Następnie musiałem spisać jedną i drugą grupę. Żydówki ułatwiały mi to zadanie, bo też starałem się robić to możliwie grzecznie. Byłem głęboko przejęty ich przyszłym losem, ale nie mogłem tego dać po sobie poznać. Po dokonaniu spisu SS-man kazał mi odprowadzić do łaźni Żydówki, które postanowiono zostawić przy życiu. Tę przynajmniej grupę mogłem zapewnić, że faktycznie idą do łaźni i że na pewno chwilowo nic im się złego nie stanie.

Wspomnienie tej selekcji utkwilo mi głęboko w pamięci i nie zapomnę tego do końca życia.

VII. Powstanie warszawskie a Stutthof

Wybuchu powstania w Warszawie spodziewaliśmy się od chwili, gdy Armia Czerwona zbliżała się do Wisły. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że powstanie jest przygotowane i że musi wybuchnąć. Nie przypuszczaliśmy jednak, że rozpocznie się ono w tak fatalnym terminie. W obozie spodziewano się wybuchu powstania już 27 lipca. W tym czasie takie było napięcie w całym obozie, że każdego dnia spodziewano się epokowych wydarzeń. Do tego nastroju przyczyniła się również wiadomość o zamachu stanu Witzlebena 20 lipca 1944.

Jeszcze w czerwcu do Stutthofu odkomenderowano kilku oficerów i podoficerów Wehrmachtu i zaczęły krążyć pogłoski o przejęciu władzy w obozie przez Wehrmacht. Okazało się, że ci ludzie, nieświadomi swego przeznaczenia, przysłani byli przez komendanta okręgu wojskowego, który był w kontakcie z Witzlebenem, i mieli po dokonaniu zamachu na Hitlera objąć władzę w obozie.

Toteż rozczarowanie nasze po nieudanym zamachu było ogromne. Szczególniej, gdy dowiedzieliśmy się, że zamachowcy mieli w swych planach oswobodzenie obozów koncentracyjnych i wsadzenie do nich SS-manów. Opowiadali potem ludzie, którzy przyjechali do Stutthofu jako wplątani w ten zamach, że gdyby Hitler usiadł przy biurku, a nie stanął za

nim, to eksplodująca w chwilę potem bomba rozerwałaby go, a nie tylko raniła. Biurko stało się osłoną od siły wybuchu. Gdyby Hitler wówczas zginął, wszyscy potraciliby głowy i zamach udałby się.

W pierwszych dniach sierpnia zaczęły w obozie krążyć wiadomości, że wybuchło powstanie w Warszawie, które udało się; podawano nawet, Bóg wie skąd wziętą cyfrę 60.000 powstańców, którzy wzięli udział w walkach, a straty liczone na 3.000. Gestapo przy Alei Szucha miało być zniszczone. W kilka dni później przyszła do nas inna wiadomość, że powstanie upadło i że straty wynoszą 80%.

Ze strony niemieckiej pierwsze oficjalne wiadomości w prasie ukazały się około 15 sierpnia. Około 20 sierpnia przyszedł z Warszawy przez Pruszków pierwszy transport w ilości kilku tysięcy ludzi, który zatrzymano w murowanych barakach pod obozem. Przeważnie byli to ci, którzy dobrowolnie wyszli z Warszawy z białymi chusteczkami. Znajdowało się wśród nich sporo przyzwoitych ludzi, wziętych z Woli lub z zajętych przez Niemców części śródmieścia. Ludziom tym Niemcy wmówili, że w Stutthofie siedzą tylko bandyci i kryminaliści i że z nimi lepiej nie rozmawiać. Toteż byliśmy głęboko dotknięci tym, że na nasze pytania przez druty o losy Warszawy i naszych bliskich odpowiadano pogardliwym milczeniem albo wyzwiskami. Powoli jednak zrozumieli oni, kim naprawdę jesteśmy. Cały ten transport, po kilku dniach pobytu pod obozem, poszedł na wolnościowe roboty, częściowo do firmy Epp, która budowała fabrykę maszyn pod Stutthofem.

Dnia 31 sierpnia przyszedł duży transport z Warszawy przez Pruszków. Było tam ponad 3.000 mężczyzn i ponad 600 kobiet z Pragi, Grochowa i Marymontu. Kilkuset mężczyzn z tego transportu pojechało później do Neuengamme. Kobiety umieszczono w braku miejsca w murowanych barakach pod obozem, gdzie gnieździły się w ciasnocie dwa tygodnie. Mężczyzn przyjęto do obozu dając im numery 77, 78, 79 tysięcy. Był to element przeważnie drobnomieszczański. Do walki

zbrojnej odnosił się krytycznie, nawet wrogo. Przeważnie nie brali oni udziału w żadnej akcji. Mówili, że miasto zniszczone jest w stu procentach. Nie można było dowiedzieć się nic konkretnego. Raz mówili, że Warszawa się nie podda, że Starówki, w którą waliła wówczas cała artyleria i lotnictwo niemieckie, wróg nigdy nie zdobędzie; drugi raz, że powstanie już upadło, bronią się tylko drobne grupki i sprawa jest beznadziejna.

Wobec ich postawy, my warszawiacy z majowego transportu, aresztowani za przygotowania powstańcze, ustosunkowaliśmy się do nich niechętnie. Zarzucaliśmy im, że opuścili broniącą się jeszcze Warszawę, że nie chcieli się bić i że uciekali od tego, do czego każdy z nas, gdyby tylko mógł, przystąpiłby natychmiast z całym entuzjazmem. Między naszymi dwiema grupami panował zdecydowany antagonizm. Swoją niechęć posuwaliśmy tak daleko, że odmawialiśmy im pomocy. Powoli jednak zaczęło się to zacierać. Pod wpływem rozmów i przemyśleń nasz początkowo entuzjastyczny stosunek do powstania uległ pewnej zmianie. Nabraliśmy więcej krytycyzmu. Większość ludzi z transportu z 31 sierpnia wyjechała do podobozów do Elbląga czy Gdańska, gdzie wielu z nich zmarło.

W ciągu września Niemcy coraz częściej podawali wzmianki i artykuły w prasie o powstaniu warszawskim. Pisali o bohaterstwie młodzieży, o walce, o przejściach kanałami, o okrucieństwach popełnianych przez Polaków na volksdeutschach, o zniszczeniu Warszawy i o zdobywanych po kolei dzielnicach. Charakterystyczne było, iż każda nowozdobytą dzielnicą była w prasie niemieckiej ostatnim bastionem powstańczej Warszawy. Najpierw pisali, że ze zdobyciem Starego Miasta powstanie jest zlikwidowane, potem to samo o Powiśle. A powstanie wciąż trwało i trwało. Pisali też Niemcy, że kilka batalionów nieprzyjaciela przepравиło się z prawego na lewy brzeg Wisły, lecz zostały one doszczętnie zniszczone. Niemcy wyolbrzymiali celowo siłę powstańców, aby znaleźć usprawiedliwienie dla długiego oporu powstania i niemożności szybkiego zlikwidowania go.

Dnia 29 września przybył z Warszawy do Stutthofu transport 1.200 mężczyzn. Byli to przeważnie mieszkańcy dolnego Mokotowa. Wielu z nich brało udział w powstaniu, a nie chcąc pójść do niewoli, przebrali się po cywilnemu, licząc, że tak łatwiej uciekną. Pochodzili głównie z jednostki bojowej „Granat”. W transporcie tym znajdowała się duża grupa inteligencji, między innymi młody archeolog Salewicz, literat i syn profesora uniwersytetu, Juliusz Znaniński, podprokurator Adam Stelmach i inni. Transport ten dostał numery od 92.300 do 93.500. Z tą grupą znacznie szybciej i łatwiej niż z poprzednią znaleźliśmy wspólny język, a stosunki między nami ułożyły się na ogół przyjaźnie.

Jednocześnie przybyło do Stutthofu 40 dziewcząt z Armii Krajowej, które w czasie powstania pełniły służbę łączniczek i sanitariuszek. Niewiasty te w wieku od 16 do 26 lat, w tym kilka mężatek, były w powstaniu przeważnie w jednostkach „Baszta” i „Granat”, operujących na Mokotowie. Wysły one z Warszawy jako wojsko w mundurach i dziwnym przypadkiem losu nie zostały odesłane do obozu jeńców, lecz trafiły do Stutthofu.

Rankiem 29 września, gdy wszedłem na teren starego lagru, udając się do biura, ujrzałem nagle kilkadziesiąt dziewcząt, stojących przed sąsiednim barakiem. Ubrane były rozmaicie. Przeważnie jednak miały kombinezony i kurtki wojskowe z biało-czerwonymi proporczykami. Na furażerkach naszywki białe-czerwone i orzełki. Kilka z nich miało chlebaki i pasy wojskowe. Jedna była widocznie ranna, gdyż rzucało się w oczy jej obandażowane ramię.

Wykorzystywałem teraz każdą sposobność, aby wyjść z biura i bez zwrócenia uwagi dyżurującego w budce przy starym lagrze SS-mana przejść koło tych dziewcząt i rzucić za każdym razem szybkie pytanie. Dowiedziałem się w ten sposób, że są one z AK z „Baszty” i znały kilku moich kolegów. Potem gdy jedna z nich podeszła do biura, aby zapytać o coś, stanąłem w drzwiach i nie widziany przez SS-mana mogłem chwilę z nią porozmawiać. Wówczas jednak wzru-

szenie zamknęło mi usta i patrzyłem tylko milcząco na orzełka i biało-czerwone proporce, pojąc wzrok tymi dawno niewidzianymi odznakami polskimi.

Dziewczęta te zachowywały się bardzo odważnie. Na pytanie komendanta obozu, co robiły podczas powstania, odpowiedziały z godnością, że „wszystko, co było trzeba”: opatrzywały rannych, gotowały jedzenie, nosiły amunicję, nawet strzelały. Żądały traktowania ich jako jeńców wojennych.

Problem, czy pozostaną one na dłużej w Stutthofie, czy też zostaną odtransportowane do obozu jeńców wojennych, nie został od razu załatwiony. Kilka tygodni musiały czekać na decyzję władz co do ich przyszłości. Obawialiśmy się bardzo, aby Niemcy nie rozstrzelali ich po prostu, tak jak to robili z jeńcami rosyjskimi, nawet kobietami-spadochroniarkami, które przecież dostawały się do niewoli w mundurach.

Czterdzieści dziewcząt stało się zaraz przedmiotem zainteresowania i sympatii całego męskiego obozu. W Stutthofie, gdzie było wiele cierpienia i męczeństwa, nie widzieliśmy dotąd pierwiastków heroicznych. Te czterdzieści dziewcząt — to był pierwszy czynnik bohaterski, który wszedł między druty i wieżyczki Stutthofu. Ponieważ większość z nich były to młode, ładne i inteligentne panny, nic więc dziwnego, że obóz męski ogarnęła fala sympatii i entuzjazmu. Przez kilka dni mówiono tylko o nich. Znoszono im jedzenie, starano się o różne, trudne do zdobycia delikatesy, jak np. jabłka. Rzucono im papierosy, a nawet jako dowód głębokiej czci — kwiaty, kradzione z ogrodu komendantury.

Oczywiście takie dowody sympatii wywołały reakcję w starym obozie żeńskim. Te podłe i głupie baby były zazdrosne o sympatię męskiego obozu dla tych czterdziestu dziewcząt i zaczęły je złośliwie szykanować, jak tylko mogły. Zamknęły je w jednej izbie i nie pozwalały wychodzić, tylko dwa razy dziennie do umywalni. Nie pozwalały na palenie papierosów ani nawet na wyglądanie oknem na ulicę.

Po kilkunastu dniach blokowa Jackowska dopięła swego. Ponieważ komendant obozu wydał zarządzenie, że czterdzie-

stka z AK pozostanie w Stutthofie, Jackowska wymogła, że zostały one, rzekomo z powodu braku miejsca na starym lagrze, przerzucone do obozu żydowskiego, w którym panowały straszne warunki higieniczne. Zabrano im mundury i przyodziano w ohydne pasiaki, mimo iż większość kobiet na starym lagrze chodziła w normalnych sukienkach. Zabrano im wszystkie drobiazgi i ciepłe rzeczy. Oto co może zdziałać babska zażość.

W obozie żydowskim oddano czterdziestkę pod nadzór blokowej, niemieckiej prostytutki. Nosiły one tam dla odróżnienia na prawym ramieniu opaskę z literami AK. W aktach zostały wpisane jako „polnische Kriegsgefängene“ nr 101950 do 101990. Tutaj musiały spać po trzy na jednym łóżku. Zmuszano je do ciężkiej, bo kilkunastogodzinnej pracy przy obieraniu kartofli i aufseherka codziennie rano sprawdzała, ile z AK idzie do kartoflarni. Przy czym aufseherki ciągle podkreślały, że nasze dziewczęta muszą odpokutować za to, że śmiały podnieść rękę na ich braci-Niemców.

Odmówiono dziewczętom nawet prawa pisania listów, jeżeli która miała do kogo. Tylko kilka z nich, które zdołały wkręcić się do szpitala na stanowiska pielęgniarek lub szrajberek, miało znośniejszy byt. Większość przechodziła nędzę życia w żydowskim obozie, nabawiając się ciężkich chorób, przeważnie tyfusu plamistego. Jedna z mężatek, będąca w ciąży, urodziła podczas pobytu w obozie synka, który mimo wszystkich zabiegów i starań po krótkim czasie zmarł.

Fala entuzjazmu i sympatii dla 40 dziewcząt w męskim obozie po kilku dniach opadła. Życie szło swoim torem i dziewczęta te przestały być sensacją. Jednak znalazła się pewna grupa ludzi, która postanowiła dopomóc im. Trzon tej grupy stanowili malarze z śp. Stanisławem Birżańskim na czele, dużo pomagał magazynier Brzozowski, pracownik Effektenkammer Marian, kapo Kokskolonne Kamiński, zastępca sztabowego 12. bloku, Stefan Kozłowski i inni. Brałem w tych pracach też pewien udział. Niestety, grupa ta była zbyt mało liczna. Trzeba było starać się o jedzenie dla nich, o ciepłą

odzież, o lekarstwa, no i wreszcie o trochę kulturalnych rozrywek. Najtrudniej było z jedzeniem, bo czterdziestu dziewczętom nie wystarczały, oczywiście, ani obozowe porcje, ani nasze dorywcze dary z otrzymywanych przez nas paczek. Kamiński starał się od czasu do czasu, aby przez znajomości uzyskać dla nich z kuchni dodatkowy kocioł zupy lub zwiększone porcje chleba. Potem ustalił się zwyczaj, że każdy z członków — nie istniejącego formalnie, ale faktycznie złączonego z sobą niewidzialnymi nićmi Komitetu Pomocy — zaopiekował się jedną z dziewcząt i z nią korespondował. Niestety, nie starczyło opiekunów dla wszystkich. Nasza agitacja wśród zamożnych „paczkowiczów“ nie napotykała na życzliwe przyjęcie. Podejrzewano nas o rozmaite nieczyste zamiary, a przeważnie odmawiano li tylko z ordynarnego skąpstwa. Mimo to akcja pomocy objęła stosunkowo szerokie kręgi i przynajmniej w pewnej mierze umożliwiła im przetrwanie. Marian z Effektenkammer zaopatrzył wszystkie dziewczęta w płaszcze i w ciepłą bieliznę. Miały nawet po dwie zmiany bielizny (wszystko kradzione z magazynu). Ale po rewizji aufseherka odebrała im cały zapas bielizny. Inne kobiety, mieszkające na żydowskim lagrze (a były tam także już teraz i Polki z transportu warszawskiego z 31 sierpnia), z zazdrością patrzyły na opiekowanie się mężczyzn uczestniczkami powstania i zatrzymywały im życie.

Korespondencja opiekunów ze swymi podopiecznymi była bardzo ożywiona. Listy nosił przeważnie Kamiński, który jako kapo ze swoim wozem mógł wjeżdżać na teren obozu żydowskiego z węglem lub koksem. Przy sposobności przewoził ukryte na wozie paczki żywnościowe, zaadresowane do poszczególnych dziewcząt. Oczywiście wkradła się tu pewna niesprawiedliwość, bo nie wszystkie jednakowo były obdarowywane. Ale było to nie do uniknięcia. Zresztą nie wszystkie z tych czterdziestu stały na jednakowym poziomie umysłowym i moralnym. Korespondencja ta sprawiła, że chłopcy, pozostający często od lat w obozie, zakochali się w niewidywanych a wyidealizowanych pannach z AK. Dochodziło do wyznań

i zawodów miłosnych. Mam wrażenie jednak, że kilka z tych sympatii przetrwało poza obóz.

Korespondencja jak i cała akcja pomocy była niebezpieczna, bo w razie wykrycia groziły nam baty, a dziewczętom różne sankcje aż do obcięcia włosów włącznie. Mimo to prowadziliśmy ją dalej, uważając to za obowiązek. Niesposób było także przerwać korespondencję, która rozpraszała dziewczętom nudę i szarżyznę dnia codziennego i dawała obu stronom pewne zadowolenie. Pochłaniała też masę czasu, co stwierdziłem sam, korespondując z dwiema dziewczętami z czterdziestki.

VIII. Życie kulturalne w Stutthofie

Tak duże zbiorowisko ludzi, jakim był Stutthof, nie mogło się obejść bez życia kulturalnego. Już przed naszym przyjazdem istniała obozowa orkiestra, dęta i smyczkowa. Orkiestra miała koncerty w niedzielę, początkowo rzadko, potem częściej. Więźniowie zorganizowali jeszcze chór rewelersów i znaleźli recytatorów. Powodzenie miała lekka poezja kabaretowa, dająca odprężenie po ciężkiej pracy. Wobec ogólnego złagodzenia kursu w obozie Niemcy pozwalali na tę namiastkę życia kulturalnego. Główną rolę w organizowaniu wszelkiego rodzaju widowisk odgrywali warszawiacy: Włodzimierz Głowacki, Wiktor Ostrowski (poeta obozowy) oraz znany reżyser i artysta teatrów warszawskich, Wroncki-Majkowski.

Poniżej przytaczam kilka najbardziej charakterystycznych wierszy Ostrowskiego:

P A C Z K A

*Znów wczoraj wywołano listę paczek długą
I znów nazwiska mego przy tym nie wspomniano.
Inni dostali paczki: czwartą, trzecią, drugą...
A ja — znów mam nadzieję, tak jak wczoraj rano.*

A dzisiaj... o radości! Cudowne zdarzenie!
 Moje nazwisko! „Jestem“! Te ostatnie chwile
 Wolno, wolno przechodzą — i nudno, i mile,
 Bo teraz mam już pewność: dziś będzie jedzenie.
 Pobieżne ogłędziny — wypreżony stoję —
 Odnoszę zbożnie paczkę na stół oddalony,
 Uważnie badam każdy papier pognieciony...
 Koniec! Wszystko w porządku: głodu się nie boję.
 Chcesz warszawskiego „Sporta?“ Tak mile się pali...
 Jaka wspaniała paczka! Wszystko jest w Warszawie!
 Oczy kolegów wpiły się w paczkę ciekawie.
 Pomyśl: paczka od żony — to paczka od Hali...
 Jak każdy kęs z paczki wybornie smakuje...
 Jakie kochane, drogie, pracowite ręce,
 Które trudzą się dla mnie. I ta myśl w udręce:
 Skąd wziąć na zakup tego? Ileż to kosztuje?
 I wniosek uporczywy w myśl moją się wwierca:
 Czy nie jest to z jej strony zbyt wielki wysiłek,
 Że nie jest to jedynie przesłany posiłek,
 Że dostałem po prostu cząsteczkę jej serca..

Stutthof, czerwiec 1944.

Prof. Rostafińskiemu poświęcam

NA CZĘŚ PEWNEGO PROFESORA

Na melodię: „W Pikutkowie dziś sensacja“.

Chłód Finlandii, żar Afryki,
 Cichy fiord i Zachód Dziki,
 Góry, lasy i przesmyki,
 Oceany, morza, ląd...
 „On“ jest wszystkim bardzo znany,
 Gościnnie podejmowany
 I przez wszystkie wiedzy stany
 Taki był wydany sąd:

Refren: Pan profesor, pan profesor
 Wszelkiej wiedzy on jest sędzią, on asesor,
 W uniwerku czy wszechnicy każdy rad,
 Gdy profesor razem z nim łaskawie siadł.

*I co idzie lwu na zdrowie
Pan profesor ci opowie,
I co trzeba dawać krowie,
I nie wolno czego psu...
Jak z wiewiórki zrobić słonia,
Jak nauczyć śpiewać konia,
Jak na las przerobić błonia —
Te pytania zadaj mu.*

Refren: *Pan profesor... itd.*

*Zdziwiły się wszystkie stany
I laiki i fachmany,
Że profesor taki znany
Tu w Stutthofie z nami siadł...
Wielkim dla nas jest honorem,
W życiu więźnia zwykłym torem
Twardy chleb on z nami jadł...*

Refren: *Pan profesor, pan profesor
Wszelkiej wiedzy on jest sędzia, on asesor.
Na Pawiaku czy w Stutthofie każdy rad,
Gdy profesor razem z nim łaskawie siadł.*

Stutthof, czerwiec 1944.

PIOSENKA O NASZYCH KOLEŻANKACH

Na melodię: „Raduje się serce...”

*Raduje się każdy, kto z daleka zoczy
Nasz kobiecy oddział, co tak dzielnie kroczy!*

Refren: *Oj, da, oj, da dana, dziewczyno kochana,
Daj mi chociaż uśmiech, daj, ach, daj! (bis)*

*Roześmiana buzia, niebieska sukienka,
Na rączce numerek — biednaś ty panienka!*

Refren.

*Smutno nam w obozie, miła panienczko,
Daj mi chociaż uśmiech, jasny jak słoneczko!*

Refren.

*Zawsze twą niebieską spamiętam sukienkę,
Daj choć raz przez druty na „dzień dobry“ rękę!*

Refren.

*Powiem ci w sekrecie, powiem ci na uszko,
Że chcia!bym posiadać twe małe serduszko.*

Refren.

TRAWESTACJA

*Smutno mi, Boże! Dla mnie nad Bałtykiem
Zbudować kompleks bloków pozwoliłeś,
A do kompleksu tego w miejscu dzikim
Nas wprowadziłeś...
Że śmierć jedynie uwolnić nas może,
Smutno mi, Boże.*

*Smutno mi, Boże, bo kiedy się śmieję,
To wzrok poważny zaraz uśmiech przerwie,
Tu każdy tylko nad sobą boleje,
Tu nie pობłaża nikt młodzieńczej werwie.
Że żaden uśmiech powagi nie zmoże,
Smutno mi, Boże.*

*Smutno mi, Boże, bo wiem, że z tysiąca
Drobna zaledwie gromadka doczeka
Wymarzonego wielkiej wojny końca,
Chwilo daleka!
Że nic przybliżyć jej do nas nie może,
Smutno mi, Boże.*

*Ale ja ufam, ja wiem i ja wierzę,
Że doczekamy się zwycięstwa skutku,
Wtedy się każdy roześmieje szczerze,
Bez trosk i bez smutku.
Bóg nas wysłucha i nam dopomoże:
Ufam Ci, Boże!*

Stutthof, wrzesień 1944.

Nasz transport wywarł pewien wpływ na stosunki moralne w obozie. Warszawiacy jednogłośnie potępili bicie więźniów przez innych współtowarzyszów niedoli i dostawszy się szybko na funkcje dawali wyraz swym przekonaniom. Wewnętrzne stosunki, brutalność blokowych i kapów uległa pewnemu złagodzeniu. Szerzyliśmy także postawę bardziej czynną wobec Niemców. Dawni więźniowie obozu, bierni i zastraszeni, dowiedzieli się od nas o życiu konspiracyjnej Warszawy i Polski, o metodach walki z Niemcami w środkowej Europie, o party-

zantce, o wspaniałym rozroście propagandy antyniemieckiej, o likwidowaniu agentur gestapo. Ci ludzie, dla których problem walki z Niemcami ograniczał się do wytrwania w polskości i do niepodpisania Volkslisty, zetknęli się teraz z innym aspektem polskiej rzeczywistości.

Zaczęły się pojawiać książki w obozie. Było ich mało, bardzo mało, toteż walczono stale o ich zdobycie. Drogi ich przenikania do obozu były rozmaite. Część wykradziono z depozytów, część otrzymano w paczkach, coraz niedbalej rewidowanych przez SS-manów. Liczba książek polskich nie przekraczała 80. Głód drukowanego słowa polskiego był ogromny. Książki pożyczaliśmy na godziny i przeżywalismy podobne uczucia jak Sienkiewiczowski Latarnik. Żeby więcej osób mogło z nich korzystać, rozrywaliśmy je na części po kilkadziesiąt stron. Było wśród tych książek sporo śmiecia literackiego, były jednak i rzeczy pierwszorzędnej wartości, którymi delectowano się po kryjomu, bo za złapanie polskiej książki groziła surowa kara. Czytano po pracy na łóżku lub w jakimś zakątku bloku, czasem w nocy, kradnąc czas przeznaczony na sen. Z piękniejszych dzieł mieliśmy w Stutthofie: „Chłopów“ Reymonta, „Dzieje grzechu“ Żeromskiego, „Korsarza“ Conrada, „Historię świata“ Wellsa, „Wiersze zebrane“ Wierzyńskiego i in. Było trochę prac rosyjskich, m. in. Tołstoj i Turgeniew. Parę tomów francuskich i sporo powieści kryminalnych i awanturniczych w języku niemieckim dopełniało liczby książek, kursujących po Stutthofie.

Władze obozowe pozwalały na abonowanie gazet, oczywiście tylko narodowo-socjalistycznych. Mimo to więźniowie umieli czytać między wierszami i znaleźć prawdę w „planowych wycofywaniach“ i „bohaterskich przebieciami się“ armii niemieckiej. Wszystkie sukcesy aliantów i Rosjan witane były ze spontaniczną radością. Przebieg wydarzeń wojennych śledziliśmy na mapie. Wiadomość o nich obiegała natychmiast cały obóz; rozmaitymi drogami przesączały się do obozu wieści o tym, co się dzieje na świecie. Trochę dowiadywaliśmy się od cywilów, trochę z radia, które dostępne było, niestety,

tylko dla jednostek. Mimo to zawsze byliśmy w czas o wszystkich ważniejszych wypadkach poinformowani.

Ludzie kulturalni tęsknili za pracą umysłową. Urządzane nawet w tych ciężkich warunkach pogadanki naukowe na rozmaite tematy, toczono dyskusje. Zorganizowano nawet w małym kółku obchód 11 listopada z recytacją wierszy patriotycznych. Najczęściej po kolacji, gdzieś w kącie, przy pryzkach gromadził swych słuchaczy prof. Rostafiński, powszechnie lubiany prelegent, i przenosił się z nimi z ponurej rzeczywistości w piękny świat czystej nauki.

Oprócz kulturalnego — rozwijało się powoli życie religijne. W lutym 1944 zwolniono księży od obowiązku pracy. Umożliwiło im to spełnianie w zwiększonej mierze obowiązków duszpasterskich. Było ich w ogóle 12, w tym 7 Polaków, reszta Litwini i Łotysze. Odprawiali oni msze św., wysłuchiwali spowiedzi i udzielali komunii św. Jeden z nich udzielał ostatnich błogosławieństw skazanym na śmierć. Niektórzy z nich swym osobistym wpływem łagodzili stosunki wewnętrzne w obozie. Księża w Stutthofie godnie spełnili swój kapłański obowiązek.

IX. Tyfus i egzekucje

Mimo iż w początku listopada zaprzestano gazowania Żydów, śmiertelność powiększyła się znacznie. Wpływały na to jesienne deszcze, a potem grudniowe mrozy, głód, ogólne wyczerpanie i tyfus plamisty, który wybuchł w grudniu. Niemcy udawali wielką dbałość o higienę. Licho odziane kobiety żydowskie pędzili do łaźni odległej o półtora km, tam dostawały gorący natrysk i musiały czekać na zimnie i mrozie, aż wszystkie się wykapiają, a potem wracać na wpół nago do swojego lagru. Nic dziwnego, że w zimie po każdej takiej „kąpie” umierało kilkadziesiąt, a czasem i więcej kobiet. Z podobozów, gdzie także pracowały Żydówki, przychodziły ciągle i w coraz większej ilości meldunki o zgonach. Wobec bałaganu panującego w wielu podobozach, często nie stwierdzano tożsamości zmarłej. Przyczyna śmierci była podawana stereotypowo: AKS (Allgemeine Körperschwache — ogólne osłabienie). Śmiertelność wzrastała ciągle, aby osiągnąć w grudniu 1944 maksymalną liczbę 4300 na 50.000 więźniów w obozie, tzn. około 9% stanu miesięcznie. Mogłoby to proporcjonalnie doprowadzić do wymarcia całego obozu w ciągu 11 miesięcy.

Obfity plon zbierał tyfus plamisty, który wybuchł w Stutthofie w grudniu 1944. Okropne warunki higieniczne,

przepełnienie w blokach i mała odporność wyczerpanych organizmów przyczyniły się do olbrzymiej śmiertelności. Szczególnie srożył się tyfus w obozie żydowskim. Sławny blok 30, gdzie umieszczono słabe Żydówki (tzw. krippe), wymarł całkowicie. Do tego bloku nie można było wejść z powodu strasznego odoru, jaki wydierał się z rozkładających się jeszcze za życia ciał i z niesprzątanymi ekskrementów ludzkich. Władze obozowe w obawie, aby tyfus nie rozszerzył się na obóz aryjski, a potem na zewnątrz, odseparowały go od świata. Cywilom wzbroniono wstępu na teren obozu, kolumny przestały wychodzić poza druty do pracy. W samym obozie usiłowano przeprowadzić odwszawienie, lecz nie mogło to dać rezultatów z powodu szczupłości środków. Akcja ta wyglądała w ten sposób, że uszczelniony dokładnie blok napełniano gazem na przeciąg 24 godzin; przez ten czas mieszkańcy musieli przejść na inny prawie nago, bo tylko w kocach (ubrania musieli zostawić w odwszawianym bloku) i tam dostawali zastępcze pasiaki. Wynikiem tej akcji było, zamiast odwszawienia, kilkadziesiąt wypadków zapalenia płuc więźniów. Gruntowne odwszawienie było niemożliwe też z powodu przepełnienia w blokach. Zamiast przewidzianych regulaminowo trzystu kilkadziesiąciu (tyle było łóżek) mieszkało po 800 i więcej. Ciężko było wobec tego utrzymać higienę na odpowiednim poziomie, chociaż trzeba przyznać, że niektórzy blokowi starali się w swym rejonie doglądać czystości więźniów. Niemcy urządzili szczepienia przeciwko tyfusowi plamistemu dla tych wszystkich, którzy mieli bezpośredni kontakt z SS-manami, a więc dla urzędników biur, rzemieślników pracujących dla SS itp. Akcja ta objęła jednak najwyżej 200 osób.

W jesieni 1944 odeszło ze Stutthofu kilka dużych transportów w liczbie około 8000 osób do obozów w Neuengamme, Buchenwaldzie i Flossenbergu. W tym samym czasie Niemcy urządzili kilkanaście egzekucji publicznych w obozie. Na śmierć szli przeważnie więźniowie, którzy uciekali i zanim zostali złapani dopuścili się jakiegoś włamania lub napadu

na Niemca. Wystarczyło uderzyć Niemca, aby zostać skazanym na śmierć. Jeden ze skazańców zawinił przez to, że uciął dla swoich potrzeb kawałek kabla elektrycznego. Złapano go na tym i powieszono za sabotaż.

Duże wrażenie na asystującym przy egzekucji męskim obozie zrobiło powieszenie dwóch młodych Rosjan, braci, za ucieczkę i zranienie Niemca przy ujęciu ich przez policję. Było to w trzeci dzień Bożego Narodzenia, na placu apelowym, gdzie stała oświetlona o zmroku choinka. Właśnie obok tej choinki Niemcy postawili szubienicę, na której zawisnąć mieli obaj chłopcy, liczący zaledwie po kilkanaście lat. Młodszy z nich zaczął płakać, ale starszy pocieszał go, że to nie boli i przed straceniem krzyknął: „Czerwona Armia pomści naszą śmierć! Niech żyje komunizm!“.

W roku 1944 zdarzyło się kilka okrutnych mordów, które wstrząsnęły nawet przyzwyczajonym do wszelkich okropności Stutthofem. W cegielni w Hoppehillu oberkapo, Alzatczyk, Toni Köln i jego pomocnik Polak, Smyk, rzucili do kadzi z wodą pewnego Estończyka, który odkrył ciemne machinacje tych „arystokratów“ obozowych. Żyjącego jeszcze Estończyka wyciągnęli z wody i z kolei wrzucili do pieca cegielni. Nieszczęśliwy począł przeraźliwie krzyczeć. Przybiegli inni więźniowie, ale było już za późno. Cała sprawa wydała się i oburzenie było ogromne.

Drugim znanym wypadkiem była sprawa Pabsta, szrajbera pierwszego bloku, znanego powszechnie homoseksualisty. Pewnego wieczoru upiwszy się politurą, zaczepił jednego z więźniów, który zaczął się bronić. Rozwścieczony oporem Pabst zamordował go, łamiąc mu w bestialski sposób żebra i dusząc go. Rano zwłoki odniesiono do kostnicy. Ponieważ znaleźli się świadkowie tej zbrodni i zboczenia Pabsta były powszechnie znane, sprawa stała się głośna i wiadomość o mordzie obiegła cały obóz. Pewien daleki krewny zamordowanego Polaka pobił Pabsta. Zapanowała bardzo napięta atmosfera. Ponieważ mordercą był Niemiec, a zamordowanym Polak, nie spodziewano się żadnej kary dla Pabsta. Ze

względę jednak na seksualny podkład tej historii nieoczekiwanie csadzono Pabsta w bunkrze i raport o wszystkim posłano do Berlina. Po paru tygodniach przyszedł na Pabsta wyrok śmierci, który został wykonany. Pierwszy to raz w dziejach Stutthofu wymierzono istotnie sprawiedliwość.

Z innych krwawych morderstw charakterystyczne było utopienie przez Niemców w umywalni pewnego oficera rosyjskiego, który im groził bliską zemstą Czerwonej Armii za popełniane przez nich na współtowarzyszach-więźniach okrucieństwa. Wypadków mordowania w nocy ludzi niewygodnych było więcej. Trzeba było bardzo unikać narażenia się komuś z obozowej „arystokracji“. Nie było wówczas pewnym życia.

Jesienią 1944 zdarzył się tajemniczy wypadek, którego prawdziwych przyczyn nie zdołaliśmy odkryć. Mianowicie młody, kilkunastoletni Rosjanin uderzył w Effektenkammer siedzącego tam przy biurku SS-mana młotkiem w tył głowy z zamiarem zabrania mu rewolweru. Bity na śledztwie chłopiec wskazał na jednego ze swoich kolegów, jakoby on kazał mu to zrobić, aby zdobyć rewolwer. Chemnitz przeprowadził energiczne dodatkowe śledztwo, ale mimo bicia do krwi tego drugiego Rosjanina nic się nie dowiedział. Niewątpliwie sprawa ta miała jakiś związek z istniejącą wśród Rosjan tajną organizacją. Możliwe też było, że był to indywidualny pomysł tych ludzi, a rewolwer był im potrzebny do zamierzonej ucieczki. W każdym razie sprawa się na tym nie zakończyła. Chłopca osadzono w bunkrze, a w kilka dni potem powieszono. Tego drugiego Rosjanina odesłano do bloku, gdzie następnego dnia rano znaleziono go powieszonego. Oficjalne doniesienie utrzymywało, że był to wypadek samobójstwa. Niewątpliwie jednak maczał w tym palce Selonke i inni Niemcy, którzy chcieli pozbyć się ewentualnych kłopotów w wyniku dalszego śledztwa.

Śledztwa odbywały się w Rapportabteilung i Sikorski lub Nogajski byli wzywani na tłumaczy. W Rapportabteilung przesłuchiowano także wszystkich złapanych lub podej-

rzanych o próbę ucieczki. Chemnitz dawał także do tłumaczenia listy, pisane „na lewo“, a złapane przez władze obozowe. Niektóre listy, przeważnie do jakiejś kobiety w obozie żeńskim, były puszczane płazem i ten, którego złapano, dostawał najwyżej parę razy po twarzy. Gorzej było, gdy złapano list, który miał pójść poza obóz.

Pamiętam, jak raz złapano taki list, w którym więzień napisał dużo prawdy o obozie i jednocześnie wysyłał w liście do matki złotą 10-rubłówkę, kupioną za słoninę lub chleb w obozie. Musiałem wtedy dyktować Sikorskiemu ten list po polsku, a ten go od razu tłumaczył na niemiecki. Biedny chłopak, który pisał list, dostał 75 batów, a ten, który podjął się to wysłać, 50 batów.

Mnie osobiście, mimo iż prowadziłem ożywioną korespondencję zarówno wewnątrz jak na zewnątrz obozu, szczęście dopisywało. Raz tylko, już na kilka dni przed ewakuacją, Scharführer Gröning z kuchni, volksdeutsch ze Śląska, pochwycił mój list do jednej z dziewcząt z AK. Wstawił się wówczas za mną Kamiński, który był z nim w dobrych stosunkach i ja sam poszedłem prosić Gröninga, żeby nie robił z tego użytku i nie oddawał tego listu Rapportführerowi. Ponieważ Niemcy spodziewali się już każdego dnia przyjscia Rosjan, a było to na kilka dni przed ewakuacją, Gröning udał wielkodusznego i całą sprawę potraktował lekko. Zaczął się tylko ze mnie śmiać i mówił, iż on rozumie, że każdy człowiek ma swoje sprawy sercowe. Wolałem dla świętego spokoju nie wprowadzać go z błędu.

W grudniu 1944 nastąpiły wielkie przetasowywania w blokach. Warsztaty DAW znalazły się w kilku blokach. Wszystkie Aussenkommanda na innych, a urzędnicy biur i rzemieślnicy pracujący dla SS zostali zgrupowani na bloku 15. Jako urzędnik Rapportabteilung miałem być przeniesiony na blok 15. Mój brat, pracujący w zakładach DAW, powinien był zostać w bloku 12. Ponieważ nie chciałem rozłączać się z bratem, prosiłem więc lagerszrajbera, z którym pozostawałem w dobrych stosunkach, aby wyjątkowo mego brata przeniósł

również na blok 15. Bizewski bez wahania, a nawet z pewną dozą uprzejmości zgodził się na to.

Kilka dni trwał w obozie niesamowity bałagan. Wszystko było w ruchu. Ludzie przeprowadzali się masowo, większość z żalem, gdyż przeważnie już się jakoś urządzili, a w nowych blokach trzeba było zaczynać od początku. Takie uczucie miałem i ja, gdy przenosiłem się do bloku 15. Mówiono, że jest tam zbiorowisko „starych numerów“, którzy jak tylko mogą, warszawiakom dogryzają. Doznałem miłego rozczarowania, że przynajmniej częściowo opinia ta nie była zgodna z prawdą. Poznałem tam dużo sympatycznych i kulturalnych ludzi, zwłaszcza gdynian, pracujących w biurze firmy Dehler. Byli to: Witold Schulc, Hilary Nowakowski, Witold Dziurdzia i inni.

Blok 15. miał tę kolosalną przewagę nad innymi, że było tam przestronno. Dzięki temu higiena stała na wyższym poziomie i przyjemniej było jeść czy odpoczywać po pracy. Mieszkańcami jego byli wyłącznie Polacy. Po pracy czytaliśmy książki lub gazety, komentowaliśmy nowiny polityczne, graliśmy w brydża lub w szachy. Czasami zapominało się, że to obóz koncentracyjny, lecz, niestety, ledwo tylko wyszło się na dwór — widok drutów kolczastych i wieżyczek przypominał o smutnej rzeczywistości.

Tutaj spędziłem Boże Narodzenie. Mieliśmy małą choinkę, łamaliśmy się opłatkiem, który dostaliśmy w paczkach, i usiłowaliśmy śpiewać kolędy. Pierwszego dnia świąt nastrój był całkiem przyjemny, ale nazajutrz przyszedł pijany Selonke i kazał grać różne skoczne „kawałki“ według swego gustu, psując nam samopoczucie.

Wigilię spędziłem w bloku 8. razem z kolegami z Warszawy, wspominając dawne dobre czasy konspiracji. Przemawiał do nas jeden z księży bardzo rzewnie i wzruszająco. Ku uczczeniu tego święta dano nam na obiad rarytas, bo zdarzającą się tylko raz na miesiąc — grochówkę. Tego dnia rano spotkała mnie miła niespodzianka. Odprowadzając jedną Żydówkę z siedziby Rapportabteilung do żydowskiego obo-

zu, miałem okazję wpaść do izby zajmowanej przez dziewczęta z AK i złożyć im życzenia świąteczne.

Nowy Rok obchodziliśmy też uroczyście, co polegało przede wszystkim na tym, że mieliśmy dzień wolny od pracy. Z samego rana w Nowy Rok zbudziła nas orkiestra, której pijany Selonke, ubrany w jakiś błazeński strój cowboyski, kazał chodzić za sobą po całym obozie i grać skoczne „kawalki“. Ten sam Selonke parę dni przedtem przyszedł po pijanemu do bloku 15. i zaczął rzucać w więźniów stołkami. Rezultat: kilku ludzi zostało ciężko poranionych, a jeden nawet zmarł.

W ostatnich dniach grudnia wybuchł pożar, prawdopodobnie z winy SS-mana, w wyniku czego spłonęło całe Baubüro. Urzędników tego biura czekała teraz perspektywa odtworzenia wszystkich akt i kartotek. Jednak mało się tym przejmowali, znacznie więcej natomiast spalaniem się w biurze ich osobistych rzeczy, które tam na noc pozostawili.

6 stycznia 1945 „wyleciałem“ z Rapportabteilung. Przyczyny tego były następujące: Tolek Rzyżkiewicz, goniec w Rapportabteilung, z którym nie lubiliśmy się, dowiedział się przez nieostrożność jednej z dziewcząt z AK, że koresponduję z nimi. Ponieważ uważał, że moja korespondencja może się skończyć źle dla całego Rapportabteilung, a więc i dla niego, doniósł o tym Sikorskiemu i wymógł na nim moją dymisję. Sikorski nie powiedział mi tego wprost, ale zawiadomił mnie o tym przez Leszka, który dał mi z kolei inny przydział, także nienajgorszy, ale nie mający porównania z Rapportabteilung. Skończyły się moje „dobre czasy“, urwały się duże „dochody“ w postaci paczek po zmarłych. Dostałem przydział do Schuhmacherei, gdzie przyjęto mnie życzliwie i zasadzono do reperacji tornistrów. Tak przesiedziałem jakieś dwa tygodnie, tj. do chwili, gdy w związku z wielką ofensywą rosyjską rokowaliśmy nadzieje na zasadnicze zmiany.

X. Ewakuacja

Już w parę dni po rozpoczęciu ofensywy wiedzieliśmy, że Stutthof będzie ewakuowany; ludziliśmy się jednak, że Niemcy nie zdążą tego dokonać. Tempo ofensywy sowieckiej było tak szybkie, że mieliśmy nadzieję, iż ewakuacja okaże się spóźnioną i niemożliwą. Z zapartym oddechem i nadzieją w sercu śledziliśmy postępy Armii Czerwonej, które miały nam przynieść wolność. Tymczasem przygotowania do ewakuacji obozu trwały. Gorączkowo pakowali Niemcy zawartość magazynów, wywozili maszyny i zapasy surowców z warsztatów. Rodziny SS-manów opuściły już Stutthof. Potem przyszła kolej na tajemniczych Haudegenów und Sippenhäftlingów.

Artylerię sowiecką usłyszeliśmy po raz pierwszy 23 stycznia. Front był już blisko. Wojska rosyjskie podchodziły pod Elbląg, odległy od nas o trzydzieści kilka kilometrów. Ale między nami a Armią Czerwoną leżała jeszcze przeszkoda terenowa, trudna do pokonania: rzeka Nogat, na której Niemcy zorganizowali obronę. Nie sądzone nam było wyjść na wolność. Bo oto przyszedł rozkaz wymarszu i z zawiedzioną w sercu nadzieją opuszczaliśmy dnia 25 stycznia rano obóz stutthofski, aby tam nigdy już nie wrócić. W obozie pozostało kilku lekarzy, około tysiąca chorych i kilka tysięcy Żydów.

wek, za słabych, aby mogły znieść trudy ewakuacji. Prócz tego została część kuchni, część Effektenkammer i trochę uprzywilejowanych „prominentów“, jak Lagerältester, Lager-schreiber i inni.

W dniu 25 stycznia najwyższy numer w obozie wynosił mniej więcej 107.000. Z tej liczby znajdowało się tutaj około 51.000 osób, w tym około 33.000 kobiet i około 18.000 mężczyzn, przy czym w centralnym obozie w Stutthofie znajdowało się około 12.000 kobiet i około 11.000 mężczyzn, reszta rozrzucona była po różnych podobozach. Z tej liczby ogólnej było w obozie centralnym i podobozach około 30.000 Żydówek i około 3.000 Żydów. Z liczby 107.000, która w ciągu pięciu lat przeszła przez obóz, zostało zwolnionych około 3.000, przewieziono do innych obozów kilkanaście tysięcy, zmarło w obozie ponad 35.000 ludzi, czyli co trzeci więzień. Cyfry te nie obejmują ofiar, które padły podczas ewakuacji, a które trudno jest dokładnie ustalić. Mniej więcej jednak ogólna cyfra zamordowanych w Stutthofie sięga 65.000 ludzi. Z naszego transportu warszawskiego do 25 stycznia 1945, tzn. w ciągu 8 miesięcy, zmarło w Stutthofie 67 ludzi, rozstrzelano 13, 7 udało się ucieczka i 7 zostało oficjalnie zwolnionych.

Pamiętam kilka nazwisk tych, którym ucieczka udało się. Byli to: Jagiełło — uciekł z Aussenkommando z Danzigerwerft; Jankowski — uciekł kanałem z samego Stutthofu, przepiłowując kratę; Świerczewski — uciekł od Eppa i następnie ukrył się na barce, które kursowały po Nogacie. Włodzimierz Steyer uciekł bardzo pomysłowo przez żydowski obóz, do którego wszedł w czasie godzin pracy i następnie ukrył się w pustym murowanym baraku pod obozem, na terytorium objętym Postenkette, czyli łańcuchem straży. Gdy straż zesza ze swych posterunków na obiad, a wchodzący i wychodzący przez główną bramę zgadzali się liczbowo, co obwieszczała codziennie trąbka, Steyer wyszedł z ukrycia. Miał już na sobie płaszcz i ubranie bez krzyży i innych znaków obozowych i spokojnie oddalił się.

Lecz nieudanych ucieczek było znacznie więcej. Specjalnie uciekali więźniowie trzeciej grupy warszawskiego transportu, obawiając się wiszącego ciągle nad nimi wyroku śmierci. Doszło do tego, że kiedyś Hauptsturmführer Meyer zebrał całą trzecią grupę naszego transportu i ogłosił jej, że wszystkie pogłoski o wyrokach śmierci są bzdurą, że tamtych trzynastu, których rozstrzelano w lipcu, to rzecz normalna w obozie, ale nam nic nie grozi, że wobec tego nie ma żadnych obaw i jeżeli mimo jego ostrzeżenia nie przestaniemy uciekać, to postara się, aby co siódmego z nas powieszono. Były to „strachy na Lachy“ i tak zostały też przez nas przyjęte.

25 stycznia rano ewakuowano nas w kilku grupach. Najpierw wyszedł blok 1, 2 i personel szpitalny, potem 3, 4, dalej 5, 7, 8 i 10, 9 i 13, na końcu 12 i 15. Przed nami ewakuowano Ehrenhäftlingów kolejką. Po nas wyszły kobiety ze starego lagru, a w dwa dni później kobiety z nowego lagru, w tym 25 z AK.

Rozpoczął się ów upiorny marsz, dla wielu ostatni w życiu. Gnano nas przez terytorium b. Wolnego Miasta Gdańska i przez polskie Pomorze aż w okolice Lauenburga — Lęborka, leżącego już na Pomorzu Zachodnim. Robiliśmy dziennie po 30 — 40 km wśród najgorszej śnieżycy i przy silnym mrozie. Początkowo myśleliśmy, że prowadzą nas tylko do Nickelswalde przy ujściu Wisły, aby załadować nas na okręty i wywieźć morzem na Zachód. Ale Niemcy zdecydowali się na pieszą ewakuację. Wybierali umyślnie boczne drogi i pola, aby nie tarasować głównych szlaków potrzebnych dla swoich transportów, i aby ludność polska nie widziała więźniów, i nie mogła przyjść z pomocą, która była nam bardzo potrzebna, gdyż jedzenia dostaliśmy tylko na 2 dni i to wyłącznie w postaci chleba.

Ale te wszystkie wybiegi Niemców nie na wiele im się zdały. Natychmiast po wkroczeniu transportu na rdzennie polskie terytorium ludność ofiarnie ratowała nas od głodu, mimo że niemiecka eskorta odpędzała ją kolbami od włoka-

cych się więźniów. Rodakom naszym zawdzięczamy, że przynajmniej część z nas przetrzymała ten okropny okres 10-dniowej Golgoty. Oczywiście Niemcy żądali dla siebie od mieszkańców wsi, przez które maszerowaliśmy, gorącej i obfitej strawy. Podczas tych uciążliwych transportów więźniów zatrzymywano na boku w śniegu do kolan. Gdyby nie pomoc ludności kaszubskiej, mało kto z nas doszedłby na miejsce tymczasowego przeznaczenia.

Z wdzięcznością wspominam zwłaszcza wieś Luzino w powiecie wejherowskim, której mieszkańcy z wielką ofiarnością żywili kilka tysięcy więźniów, dając co mieli najlepszego, a przede wszystkim otwierając dla nas swoje gorące polskie serca. Niech mi będzie wolno złożyć na tym miejscu jak najserdeczniejsze podziękowania tym wszystkim szlachetnym mieszkańcom Pomorza za uratowanie tyłu istniejących ludzi.

Drogę mieliśmy naprawdę krzyżową. Wymarsz następował zwykle rano, potem przez cały dzień szliśmy prawie bez odpoczynku po zawianych śniegiem drogach i polach. Dopiero późnym wieczorem pakowano nas do przewiewnych stodół na nocleg. A był to styczeń i 15 do 20 stopni mrozu. I rzecz chyba najgorsza — głód, potęgowany wysiłkiem fizycznym. Trasa naszego pochodu była następująca: Stutthof, Steegen, Nieckelswalde (tam przeprowadzono nas promem przez Wisłę), Kleinzünder, Grosszünder, Preust, Żukowo, Pomiecino, Luzino, Zamostne, Althammer, Rüben. Wielu z osłabionych więźniów nie mogło wytrzymać tej piekielnej drogi i padało podczas marszu z wyczerpania. Kto tylko osunął się na ziemię, tego natychmiast Niemcy dobijali nieubłagany strzałem karabinowym. Był taki jeden dzień — niedziela 28 stycznia — kiedy z grupy, liczącej około 1500 więźniów, padło 137 i więcej się już nie podniosło.

W ciągu pierwszych dni marszu słyszeliśmy jeszcze artylerię rosyjską. Potem oddaliliśmy się od frontu i odgłosów armatnich nie było już słychać. Nadzieja na odcięcie i odbicie zmniejszyła się. Wielu straciło już wiarę w przetrzyma-

nie. A kto stracił wiarę w swoje siły, ten nieuchronnie padał. Przekonałem się wtedy, jak wielkie znaczenie ma siła woli, której całkowite skupienie utrzymało wielu z nas przy życiu.

Po 10 dniach takiego marszu doszliśmy w stanie kompletnego wyczerpania do tymczasowego miejsca pobytu. Był nim obóz RAD (Reichsarbeitsdienst — niemieckiej służby pracy), Rüben pod Lęborkiem. Liczebność transportu była już znacznie mniejsza niż w chwili wymarszu ze Stutthofu. Ci zaś, którzy mieli na Pomorzu krewnych lub znajomych, uciekli z drogi lub postoju, przeważnie wieczorem lub w nocy.

W Rüben rozpoczął się okres najcięższy. Najcięższy — i dla wielu ostatni. Panował tam straszliwy głód. Więźniowie otrzymywali na cały dzień tylko litr zupy, która właściwie była gotowaną wodą, z pływającymi w niej plasterkami brukwi i marchwi. Na domiar złego wybuchła epidemia tyfusu plamistego i krwawej dysenterii. Ludzie marli jak muchy. Ciężej chorych prowadzili SS-mani nad wykopany rów i dobijali ich, spychając następnie w dół. Okoliczna ludność polska próbowała także i tu pomagać, ale komenda obozu zabroniła ludności cywilnej styczności z więźniami. W Rüben znajdowało się na początku ponad 1100 ludzi, później doszło do tego kilkuset Żydów z jakiegoś Aussenkommanda. Według informacji kolegów przez te kilka tygodni do wyzwolenia obozu przez Armię Czerwoną zmarło tam około 600 ludzi.

Jeżeli chodzi o mnie, to po czterech dniach pobytu w Rüben zdołałem skontaktować się z dalekimi krewnymi z Gdyni, którzy przyjechali do Rüben i uzyskawszy pozwolenie od tymczasowego komendanta naszego obozu, Sturmana Lehnera na widzenie się, udzielili mi informacji co do najbliższego punktu zaczepienia. Miała nim być wieś Góra pod Wejherowem. Przynieśli mi jedzenie, co powitałem z entuzjazmem, jako że byłem niemiłosiernie wygłodzony, i doradzali ucieczkę. Tej samej nocy razem z bratem i trzema innymi kolegami uciekłem, korzystając z małej ilości posterunków. Całą

noc błakaliśmy się po nieznannej okolicy, szukając owej Góry. Nad ranem trafiliśmy na właściwą drogę i w południe tegoż dnia znalazłem swój punkt zaczepienia. Po dwóch dniach pobytu u pocziwych Kaszubów, kuzynki moje przewiozły mnie z bratem do Gdyni, gdzie ukrywałem się aż do zdobycia miasta przez Armię Czerwoną.

W Rügen tymczasem panował straszliwy głód i na domiar złego zmuszano więźniów do ciężkiej pracy przy budowie fortyfikacji. W połowie marca wojska marszałka Rokossowskiego dotarły do Bałtyku, odcinając Pomorze od Rzeszy. Nie było już dokąd ewakuować obozu. Niemcy podobno myśleli jeszcze raz o drodze morskiej, ale i na to było już za późno. Pod naciskiem atakujących wojsk radzieckich zaczęli się cofać wraz z obozem spod Lęborka pod Gdynię i Gdańsk. Ciężko chorych pozostawiono w Rügen. Reszta obozu doszła do Pucka, gdzie Niemcy podobno zamierzali załadować więźniów na okręty. Przeszkodziły im w tym czołówki pancerne Czerwonej Armii, które wyzwoliły tracących już wszelką nadzieję więźniów.

Reszta grup ewakuowanych razem z nami została rozlokowana również w pobliżu Lęborka. Bloki 8, 9, 10 i 13 były we wsi Gans. Blok 5 i 7 we wsi Lowitsch. Los wszystkich tych grup był podobny. Głód, tyfus i wielka śmiertelność, dochodząca do 50%. Część z nich została uwolniona przez Rosjan pod Lęborkiem, reszta w okolicach Kartuz, Wejherowa i Pucka. W Wejherowie w nocy z 11 na 12 marca Niemcy wymordowali około stu więźniów karabinami maszynowymi, a około 300 zostało rannych. Aussenkommando z Elbląga gnano razem z nami i spotkał ich podobny los. Aussenkommando z Gdyni częściowo uciekło przed zdobyciem miasta, większość jednak załadowano na okręty i potem zatopiono. Część pozostała tego Aussenkommanda, Aussenkommando Gdańsk i resztki ze styczniowej ewakuacji pozbierane po wsiach i zgrupowane następnie w Kokoszkach zwięźli Niemcy w marcu z powrotem do Stutthofu. Tam siedzieli do 24 kwietnia, kiedy to na trzech barkach ewakuowano ich przez

Nickelswalde, Hel i Rugię (gdzie uciekło kilkudziesięciu więźniów) dalej na Zachód. Część z tego transportu odnalazła się w Danii. Resztę chorych ewakuowano 25 kwietnia także barkami i część z nich odnalazła się w Szwecji. Aussenkommando z Pölitz zostało ewakuowane na Zachód piechotą i po wielkich stratach na skutek głodu, zimna i dobijania przez SS-maków zostało uwolnione przez Rosjan. W samym Stutthofie, który został zajęty ostatniego dnia wojny światowej, tzn. 10 maja 1945, znajdowało się wówczas około 120 więźniów, którzy się tam „zadekowali”. O losie Aussenkommand żydowskich brak mi wiadomości. Większość z nich prawdopodobnie wymarła. Część z nich z pewnością została uwolniona przez wojska rosyjskie. Trzeba się liczyć jednak z tym, że spośród uwolnionych część znajdowała się w stanie takiego wyczerpania, iż wielu niedługo cieszyło się życiem na wolności.

Dzieje obozu koncentracyjnego w Stutthofie dobiegły końca. Ponury koszmar, który wisiał nad polskością Pomorza i innych dzielnic Rzeczypospolitej, stał się już tylko wspomnieniem, jakże tragicznym dla wielu rodzin polskich.

T R E Ś Ć:

	Str.
Wstęp	
Od Autora	
I. Przybycie do Stutthofu — kwarantanna	1
II. Historia obozu	15
III. Organizacja obozu	28
IV. Struktura społeczna obozu	51
V. Czerwiec — sierpień 1944	55
VI. Rapportabteilung	65
VII. Powstanie warszawskie a Stutthof	76
VIII. Życie kulturalne w Stutthofie	84
IX. Tyfus i egzekucje publiczne	90
X. Ewakuacja	97

Załączniki:

Plan obozu koncentracyjnego w Stutthofie.

Droga ewakuacji (mapka).



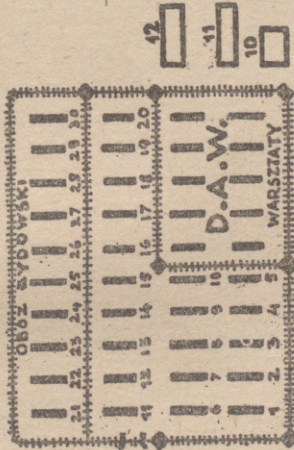
PLAN OBOZU KONCENTRACYJNEGO W STUTTHOFIE

OBJAŚNIENIA

- KOLEJKA
- DROGA
- DRUTY KOLCZASTE
- WIEŻYCA STRAŻNICA
- BARAK MIESZKALNY
- KOMENDANTURA
- POLITISCHE-ABTEILUNG
- GARAZE
- MAGAZYN; STAJNIE
- OBÓZ KOBIECY
- SZPITAL
- ŁAŹNIA
- KREMATORIUM
- KOMORA GAZOWA
- DAW BIURO
- FOCKE-WULF
- DELTA HALLE

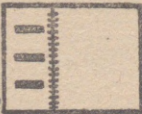
SKALA 1:10000

NOWY LAGER



KARTOFIARNIA

SONDERNLAGER



MUROWANE BARAKI



BAUBÜRO

BATHOF

BARAKI
POD OFICERÓW SS



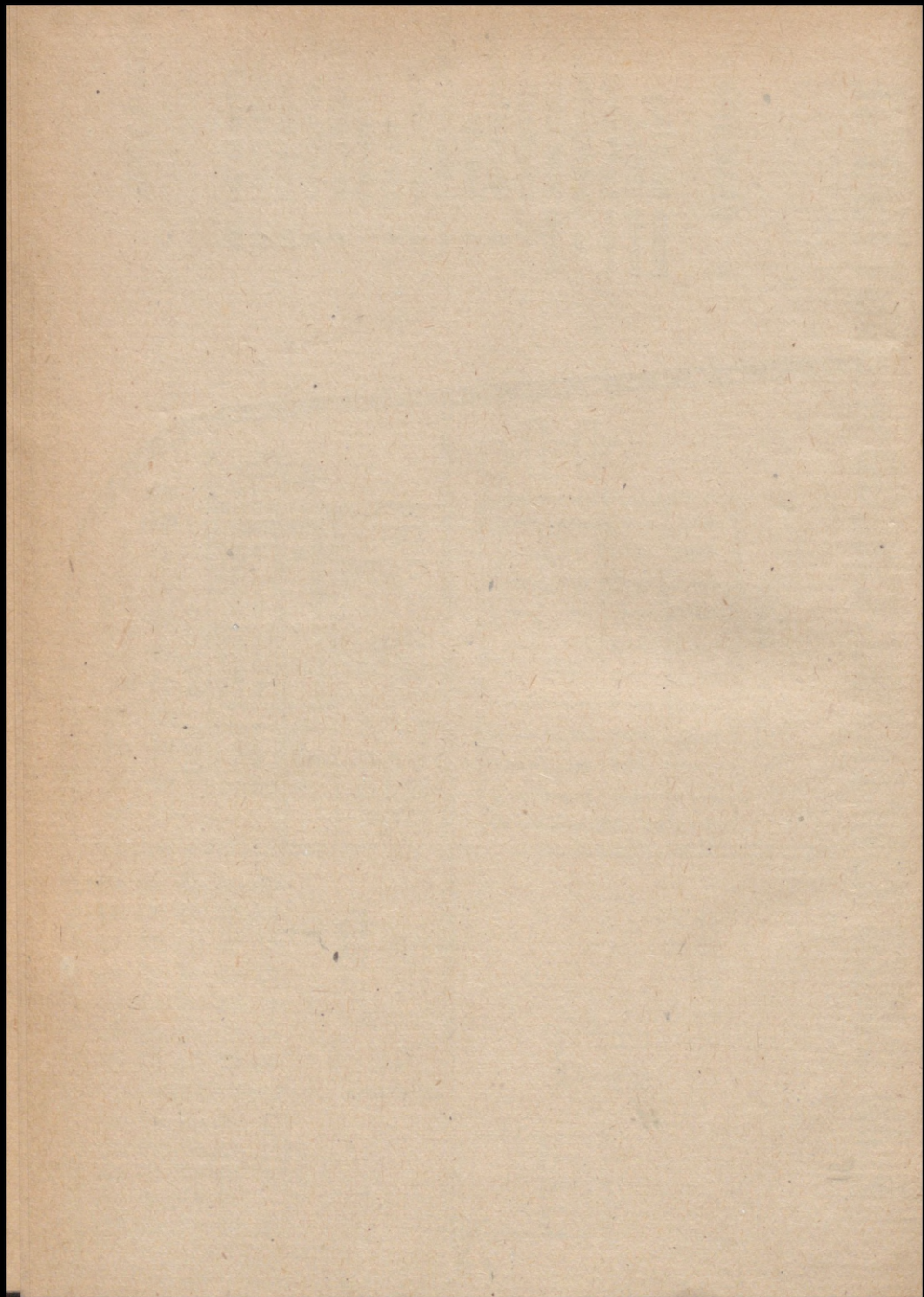
LAS

SKŁAD DRZEW
I WĘGLA

SKŁAD DRZEW
I WĘGLA

DO STUTTHOFU

DO STEEGEN



DROGA EWAKUACJI

25.I.45 do 5.II.45 r.



SKALA 1:1000 000



3389/2